

Tytuł oryginału
NEVER SAY NEYER

Copyright © 2000 by Jackie Stevens

Projekt graficzny okładki
Robert Maciej

Skład i łamanie
„KOLONEL”

Rozdział 1

For the Polish translation
Copyright © 2002 by Wydawnictwo ELF

For the Polish edition
Copyright © 2002 by Wydawnictwo ELF

ISBN 83-89278-04-9

↳ki K\KMAGS

JNie, nie możesz mi tego zrobić! - zawołała Kathryn z rozpaczą. - Jeśli mnie do tego zmusisz, nigdy ci tego nie zapomnę! - dodała, zrywając się z krzesła.

Mama chwyciła ją za ramię i przytrzymała.

- Zaczekaj - poprosiła. - Nie zamierzam cię do niczego zmuszać. Chciałabym tylko, żebyś przynajmniej spróbowała mnie zrozumieć.

- Co tu jest do zrozumienia? - rzuciła z wyrzutem dziewczyna. - Pogodziłam się z tym, że rozwiedliście się z tatą, ale czy moje życie musi się przez to wywrócić do góry nogami?

- Posłuchaj, przeprowadzka to jeszcze nie koniec świata - przekonywała córkę pani Porter. - Ludzie zmieniają miejsce zamieszkania nie tylko z powodu rozwodów. Wyobraź sobie, że dalej jesteśmy z tatą i on otrzymuje ciekawą propozycję pracy, na przykład w Kalifornii.

- Ale nie jesteście razem i nie przenosimy się do Kalifornii, tylko na drugą stronę Bostonu, do jakiejś podejrzanej dzielnicy!

- Teraz trochę przesadziłaś. Nie będziemy mieszkać w podejrzanej okolicy, a ulica, przy której stoi dom Brendy, jest miła i bezpieczna. - Mąż Brendy, kuzynki pani Porter, wyjeżdżał służbowo na dwa lata do Singapuru i zabierał ze sobą żonę i dzieci. Kathryn z matką miały w tym czasie zajmować ich dom. - Mieszkają przy niej normalni, przy zwoici ludzie. Owszem, miejsce nie jest tak eleganckie jak Beacon Hill, ale to nie są jakieś slumsy. Jeśli chcesz, pojedziemy tam w sobotę i sama się przekonasz - za proponowała matka. - A przy okazji mogłybyśmy zobaczyć, jak wygląda tamtejsze liceum.

Kathryn nie miała ochoty oglądać nowego domu, a już zwłaszcza szkoły. Milczała dłuższą chwilę, wpatrując się w swoje dłonie.

- Rodzice Rebeki też się rozwiedli - odezwała się wreszcie, wciąż dosyć agresywnym tonem - ale tylko ojciec się wyprowadził, a ona z mamą i bratem zostali w starym domu. Rebeca nie musiała zmieniać szkoły tylko dlatego, że jej tata zostawił mamę.

Matka nie odzywała się. Rozwód był dla niej sprawą jeszcze na tyle świeżą, że te słowa mogły ją zabość. Kathryn, wiedząc o tym, spojrzała na nią z obawą. Nie dostrzegła jednak na twarzy mamy śladów cierpienia; to, co się na niej malowało, kojarzyło się raczej z determinacją. Dziewczyna uznała więc, że może kontynuować swoją batalię. A miała o co walczyć. Przed chwilą dowiedziała się, że w czasie wakacji przeprowadzi się na peryferie miasta, a od września zacznie chodzić do publicznego

liceum w dzielnicy, w której zamieszkają. Nie potrafiła wyobrazić sobie opuszczenia starego wiktoriańskiego domu na Beacon Hill, gdzie mieszkała od dziecka, i szkoły, do której chodzili wszyscy jej przyjaciele... szkoły, do której chodził Marc O'Neill. Zwłaszcza teraz, kiedy Marc wreszcie zwrócił na nią uwagę i nawet jeśli nie byli jeszcze parą, to wszystko wskazywało na to, że wkrótce będą.

- Ojciec Rebeki płaci alimenty na nią, jej brata i nawet na mamę - powiedziała. - Czy tata...

- Ale ja nie jestem mamą Rebeki - przerwała jej dość ostro pani Porter. Oparła łokcie na stole i zaczęła pocierać czoło, jakby starała się skupić i przygotować do kontrataku. - To wszystko nie jest takie proste, jak ci się wydaje - odezwała się po chwili. - Może się mylę, niewykluczone jednak, że nawet gdybyśmy się z ojcem nie rozwiedli, musielibyśmy trochę zmienić nasz styl życia. Twój tata nie ma posady w banku, nie jest lekarzem, który ma swoich stałych pacjentów. Jest architektem, bardzo dobrym architektem, ale w tym zawodzie wszystko zależy od tego, czy dostaje się zamówienia, czy nie. Przez lata ojciec był jednym z najmodniejszych architektów w mieście, lecz moda się zmienia.

- Chcesz powiedzieć, że tata nie ma pracy? - spytała wystraszona dziewczyna.

- Nie, nie jest chyba aż tak źle - odparła matka. - Ale z tego, co wiem, nie należy już do najbardziej rozchwytywanych w swoim zawodzie. - Przerwała na chwilę i popatrzyła na córkę bardzo poważnie. - Jesteś wystarczająco dorosła, żeby nie ukrywać przed tobą pewnych rzeczy. Tata i ja mieliśmy trochę lekkomyślny stosunek do pieniędzy. Po tym, jak dostał kilka bardzo poważnych zleceń, wydawało

nam się, że tak już będzie zawsze. Kupiliśmy dom w naj-
elegantszej dzielnicy Bostonu, zapisaliśmy cię do ekskluzyw-
nej prywatnej szkoły, wakacje spędzaliśmy na Martynice
albo na Bahamach... zresztą sama wiesz.

Pani Porter, widząc, że w oczach coraz bardziej przera-
żonej Kathryn pojawiają się łzy, ujęła jej dłoń.

- Nie bój się, Kathy, nie grozi nam nędza. Trzeba po-
 prostu trochę zacisnąć pasa, ale są większe nieszczęścia.

Dla niej jednak nie było większego nieszczęścia niż
perspektywa opuszczenia szkoły, do której chodził Marc.

- / naprawdę musimy sprzedawać ten dom? - spytała
błagalnym głosem.

- Posłuchaj, od czasu kiedy się urodziłaś, na nasze życie
zarabiał tylko ojciec.

- Ty zajmowałaś się mną i domem - przypomniała
Kathryn mamie.

- Bo taka była moja decyzja - oświadczyła spokojnie pani
Porter. - Twój tata nie zmusił mnie do tego. Więc teraz,
kiedy się rozeszliśmy, nie byłoby uczciwie z mojej strony...

- Ale to przecież on chciał się rozwieść - nie dawała za
wygraną córka.

- Nieważne, kto chciał się rozwieść - ciągnęła matka. -
Ten dom należy po połowie do mnie i do twojego ojca.

Żadnego z nas nie stać na to, żeby spłacić drugiego, więc
wyjście jest tylko jedno: musimy dom sprzedać i podzielić

się pieniędzmi. - Uśmiechnęła się do córki i dodała: - Nie
martw się, domy na Beacon Hill są na tyle w cenie, że za

dwa lata, kiedy Brenda wróci do Stanów, nie będziemy
musiały mieszkać w slumsach. Kupimy sobie jakieś ładne
mieszkanie albo nawet dom.

- Ale mama Rebeki... - Kathryn rozpaczliwie próbowała

jeszcze przekonać matkę do zmiany postanowienia. - Mama
Rebeki po rozwodzie...

- Nie jestem mamą Rebeki! - ucięła dalszą dyskusję
pani Porter.

I ego wieczoru Kathryn długo nie mogła zasnąć. Po raz
pierwszy od trzech miesięcy, kiedy ojciec wyprowadził się
z domu, poczuła, że rozwód rodziców dotknął również ją,
i to w najbardziej bolesny dla niej sposób.

Matka i ojciec rozeszli się bez wielkich awantur. Kilka
tygodni wcześniej odczuwała napięcie między nimi; wi-
działa, że mama chodzi smutna, czasami łapała ją na
tym, jak ukradkiem wyciera łzy. a tata rzadko bywał
w domu.

Gdy wspólnie przeprowadzili z nią rozmowę, przeżyła
szok, lecz wiedziała, że podjęli decyzję i ona jej nie zmieni.
Co najmniej połowa rodziców koleżanek i kolegów Kathryn
była rozwiedziona i jakoś z tym żyła. Może gdyby nie była
wtedy tak zaabsorbowana Markiem, który właśnie zaczynał
okazywać jej swoje względy, odczułaby odejście ojca znacz-
nie dotkliwiej.

Minione trzy miesiące utwierdziły ją w przekonaniu, że
rozwód rodziców nie jest taką straszną tragedią, zwłaszcza
że często widywała tatę, co więcej, kiedy się z nim spotykała,
miała go tylko dla siebie. Po raz pierwszy odnosiła wrażenie,
że jej słucha i zależy mu na kontaktach z nią.

Od dwóch tygodni żyła myślą o zbliżających się waka-
cjach, które miała spędzić z ojcem w Europie, na Lazurowym
Wybrzeżu. Kiedy tata mówił o tym wyjeździe, w pierwszej
chwili nie była zachwycona, przypomniała sobie bowiem

foldery biur turystycznych, przedstawiające zatłoczone plaże Cannes czy Nicei, a nie przepadała za takimi miejscami.

Dopiero na drugi dzień, kiedy Marc O'Neill powiedział jej, że w tym roku, jak zawsze w lecie, wyjeżdża z rodzicami na południe Francji, gdzie w Cannes stoi zacumowany ich jacht, propozycja ojca wydała się dziewczynie po prostu fantastyczna.

- Tata nastawił się wprawdzie na żeglowanie po Morzu Śródziemnym, ale kilka dni na pewno spędzimy w Cannes - oznajmił chłopak. - Cieszę się, że tam będziesz.

Nie próbując nawet ukryć triumfalnego uśmiechu, spojrzała na Ashley MacKinnon, która od jakiegoś czasu również interesowała się Markiem.

Teraz świat Kathryn się zawalił. Nawet jeśli spotka się z Markiem we Francji - choć wcale nie była pewna, czy do tego dojdzie, bo kto wie, jak chłopak zareaguje na wieść o jej przeprowadzce do biedniejszej dzielnicy i zmianie szkoły - to i tak po wakacjach pewnie straci z nim kontakt. A wtedy zatriumfuje Ashley.

Dzień dobry - przywitała się Kathryn, otwierając tylne drzwi najnowszego modelu jaguara, należącego do matki przyjaciółki. - Cześć - zwróciła się do Rebeki, siadając obok niej.

Pani Logan, która wozila dziewczęta do szkoły na zmianę z mamą Kathryn i w tym tygodniu przypadła jej kolej, odwróciła się i w samochodzie rozniósł się intensywny zapach jej eleganckich perfum.

- Dzień dobry.

Kathryn, która od jakiegoś czasu nie widziała matki

przyjaciółki, uderzyła zmiana w jej wyglądzie. Pani Logan była bardzo atrakcyjna i jak na kobietę czterdziestokilkuletnią wyglądała niezwykle młodo. Dzisiaj jednak dziewczyna nie dostrzegła na jej twarzy ani jednej zmarszczki, a mogłaby się założyć, że jeszcze przed dwoma tygodniami je widziała. Gdy pani Logan uśmiechnęła się promiennie, ukazując nienaturalnie białe i równe zęby, Kathryn zorientowała się, o co chodzi, zwłaszcza że przypomniła sobie ironiczny uśmiech Rebeki, kiedy ta mówiła o tajemniczym „wyjeździe” swojej mamy. Zmiany w mimice twarzy pani Logan nie pozostawiały wątpliwości, że jej „odnowione” oblicze jest dziełem chirurga plastycznego.

- No to jedziemy - rzuciła, przekręcając kluczyk w stacyjce. - O dziewiątej jestem umówiona u fryzjera.

Zdziwiona Kathryn spojrzała na jej perfekcyjnie ułożone jasne włosy o popielatym odcieniu, które wyglądały tak, jakby przed chwilą fryzjer skończył nad nimi pracę.

Rebeca skrzywiła się lekko i w milczeniu pokręciła głową.

- Tyle razy ci mówiłam, że mogłybyśmy chodzić do szkoły pieszo. To piętnaście minut drogi wolnym krokiem - zwróciła się do matki.

Ta jednak najwyraźniej jej nie słyszała, bo właśnie zatrzymała się na czerwonym świetle i wykorzystywała tę chwilę, by ocenić we wstecznym lusterku rezultaty działania silikonu, kolagenu czy Bóg wie czego tam jeszcze.

Jej córka znów pokręciła głową, po czym uśmiechnęła się do przyjaciółki i wtedy właśnie coś ja zaniepokoiło.

Przed rokiem boleśnie przeżyła rozwód rodziców, może nie tyle samo ich rozejście się, co awantury, które temu towarzyszyły, wzajemne zrzucanie na siebie winy, klótnie o podział majątku, o najmniejsze nawet drobiazgi. W końcu

ojciec, wiedząc, że i tak z żoną nie wygra, jak to zwykle on, przystał na wszystkie stawiane przez nią warunki.

Kiedy przed trzema miesiącami Rebeca dowiedziała się o rozwodzie rodziców swojej najlepszej przyjaciółki, obawiała się, że i ona będzie musiała przechodzić przez to samo. O dziwo, u Kathryn - co było niewątpliwie zasługą jej mamy i taty - przebiegało to nadspodziewanie łagodnie. Dopiero dzisiaj, widząc przygnębienie na twarzy przyjaciółki, Rebeca pomyślała, że być może myliła się w ocenie sytuacji.

Nie chciała rozmawiać o tym teraz, przy matce, a tak się akurat składało, że tego dnia ona i Kathryn nie miały żadnych wspólnych zajęć. Na przerwach również nie było warunków na dłuższe i poważniejsze rozmowy.

- Może po lekcjach wyskoczymy na lody i pogadamy? - zaproponowała przyjaciółce.

- Lody powinienam sobie darować, skoro za miesiąc mam się wbić w bikini i paradować po plaży na Lazurowym Wybrzeżu. Ale muszę z tobą porozmawiać.

- Widzę.

Kathryn spojrzała na przyjaciółkę z wdzięcznością. Jak to dobrze mieć kogoś, z kim można się porozumieć nawet bez słów.

- Mamo, nie przyjeżdżaj dzisiaj po nas - poprosiła Rebeca, dotykając ramienia matki. - Wrócimy same. Mu simy po drodze coś załatwić.

- Nawet dobrze się składa, bo u Armaniego mają nową kolekcję, więc może mi zejść trochę dłużej na zakupach - ucieszyła się pani Logan.

- Nie przesadzasz z tymi ciuchami? - spytała zdegustowana córka. - Przecież połowy z tego, co trzymasz w szafach, nie miałaś na sobie ani razu.

- Nie mogę nosić ubrań z zeszłego sezonu - oświadczyła matka, oburzona jej brakiem zrozumienia dla czegoś tak oczywistego. Zaparkowała na wprost ponurego dziewiętnastowiecznego budynku z czerwonej cegły, w którym mieściło się Liceum Stuarta. - No już, wyskakujcie, bo spóźnię się przez was do fryzjera.

- I wtedy, oczywiście, nastąpiłby koniec świata - bąknęła pod nosem Rebeca. - Spotkamy się przy głównym wyjściu po siódmej lekcji - zwróciła się do przyjaciółki.

- Będę na ciebie czekać.

W jeszcze bardziej ponurym nastroju niż rano Kathryn stała przed szkołą, wypatrując Rebeki w tłumie wylewających się z budynku uczniów. Dzień był upalny, z ulgą zdjęła więc granatowy kaszmirowy żakiet, stanowiący część stroju obowiązującego dziewczęta w Liceum Stuarta. Po chwili uznała jednak, że w samej białej bluzce i plisowanej spódnicy do kolan, w granatowo-zieloną kratę, musi wyglądać idiotycznie, i zarzuciła żakiet na ramiona.

Jak u każdej szesnastoletniej dziewczyny jej stosunek do szkoły bywał różny; czasami jej nie cierpiała, czasami ją lubiła, a najczęściej jakoś znosiła. Ale dziś, mając świadomość, że będzie tu chodziła jeszcze tylko przez dwa tygodnie, wszystko wydawało się Kathryn wspaniałe - ponury budynek ze szpetnymi pseudogotyckimi wieżyczkami, pan Hurlley, historyk i najbardziej zniechęcony przez uczniów nauczyciel, nawet ten grzeczny mundurek,

Uśmiechnęła się, kiedy w granatowo-zielonej masie dziewcząt i chłopców zobaczyła Marca O'Neilla, lecz po chwili jej uśmiech przygasł. Wciąż nie była zdecydowana, czy

powiedzieć mu od razu, że po wakacjach będzie musiała zmienić szkołę, czy zrobić to dopiero wtedy, jak spotkają się na południu Francji.

- Cześć - przywitał się, podchodząc do Kathryn. - Na mnie czekasz?

Rebeca, która nie przepadała za Markiem, zawsze złościła się, widząc jego trochę arogancki uśmiech, ale jej przyjaciółka była nim zachwycona.

- Nie, dzisiaj wyjątkowo nie na ciebie - odparła żartobliwym tonem, choć wcale nie miała nastroju do żartów.

- Nie wierzę - przekomarzał się chłopak. - W takim razie jesteś jedyną dziewczyną w tej szkole, która na mnie nie czeka.

Był tak przystojny, że Kathryn wcale w to nie wątpiła.

- Umówiłam się z Rebeca, idziemy na lody - powiedziała już poważnie.

Marc zerknął na zegarek i chwilę się zastanawiał.

- Za godzinę mam się spotkać z bratem, jedziemy pograć w golfa. Ale do tego czasu mogę was zaszczyścić swoim towarzystwem.

- Dość wątpliwy zaszczyt - odezwała się Rebeca, która podeszła niepostrzeżenie i usłyszała jego słowa.

Kathryn popatrzyła na nią z niemą prośbą w oczach. Z jednej strony zależało jej na tym, żeby porozmawiać z przyjaciółką sam na sam, z drugiej nie chciała odmawiać Marcowi.

- No dobra, chodźmy - rzuciła Rebeca, wznosząc ramionami, jakby nie rozumiała, co Kathryn widzi w tym chłopaku. Jeszcze niedawno próbowała wybijać go jej z głowy, w końcu jednak doszła do wniosku, że przyjaźń nie polega na tym, by narzucać komuś swoje zdanie. Byłoby

pewnie znacznie gorzej, gdybyśmy się zakochały w tym samym chłopcu, pomyślała. - Idziemy do Vincence'a? - spytała przyjaciółki, jakby zdanie Marca zupełnie jej nie obchodziło.

- Chyba tak - odparła Kathryn. - Bo jeśli nie tam, to gdzie? - dodała, zerkając na Marca.

- Do Cafe DaYinci - zasugerował.

- Nieee - zaprotestowała Rebeca, krzywiąc się. - W ży ciu nie widziałam kawiarni z większym zadęciem. Naprawdę ci się tam podoba? - zwróciła się do Marca. Szczerze mówiąc, wcale się temu nie dziwiła. Według niej, lokal był tak samo napuszony jak on.

- To idziemy do Vincence'a - zdecydowała szybko Kathryn, chcąc zapobiec kłótni. - Mają najlepszy mrożony jogurt w całym Bostonie.

Po pięciu minutach weszli do przytulnej kawiarni, w której siedzieli prawie sami młodzi ludzie. Musieli, niestety, chwilę poczekać, aż zwolni się stół. Dziewczętom nie przeszkadzało to specjalnie, zwłaszcza że widziały, jak kilka osób płaci już rachunki.

Marc jednak nie oszczędził sobie komentarza.

- W Cafe DaYinci nie musielibyśmy czekać.

- Bo do Cafe DaYinci chodzą same nadęte głowy, a tych na szczęście nie jest na świecie aż tak wielu - odparowała Rebeca.

Kathryn, choć była przyzwyczajona do sprzeczek między tą dwójką, uznała, że tym razem przyjaciółka chyba trochę przesadziła, i popatrzyła na nią znacząco.

Rebeca spuściła nieco z tonu.

- O, tam zwalniają się miejsca - zauważyła i ruszyła do stolika pod oknem.

Natychmiast zabrali się za oglądanie karty z deserami lodowymi.

Rebeca, jak to zwykle ona, wybrała od razu lody czekoladowe polaną podwójnym czekoladowym sosem. Kathryn popatrzyła na nią z zazdrością.

- To niesprawiedliwe - powiedziała. - Pakujesz w siebie tyle kalorii, a masz figurę modelki. - Zerknęła smętnie na kartę i po chwili zastanowienia zdecydowała się na mrożony naturalny jogurt ze świeżymi malinami.

Mark zmierzył krytycznym wzrokiem jej przyjaciółkę i nie oszczędził sobie uwagi:

- Według mnie, kilka kilogramów więcej dobrze by ci zrobiło.

Rebeca, pamiętając jeszcze karcący wzrok przyjaciółki, puściła jego słowa mimo uszu.

Tymczasem do ich stolika podeszła, uśmiechając się szeroko, młoda sympatyczna kelnerka.

- No jak, wybraliście już coś? - spytała.

- Proszę jeszcze chwilę poczekać - odparł Marc, przeciągając zgłoski w sposób charakterystyczny dla członków starej bostońskiej elity.

Serdeczny uśmiech na twarzy kelnerki zamienił się w grymas, który miał być uprzejmym uśmiechem.

Rebeca prychnęła, ale nie chcąc sprawiać przykrości przyjaciółce, darowała sobie cisnący się jej na usta złośliwy komentarz pod adresem chłopaka. Jak Kathryn może znosić ten jego okropny snobizm? - pomyślała.

Mark tymczasem wreszcie się na coś zdecydował - na jakiś deser o francuskiej nazwie - i Rebeca nie musiała patrzeć do karty, by wiedzieć, że wybrał najdroższy.

- Rozmawiałam dzisiaj o tobie z dziewczynami ze szkol-

nego samorządu - zwróciła się do przyjaciółki. - Wszystkie są zdania, że w przyszłym roku ty powinnaś zostać przewodniczącą.

- Ja? - rzuciła zdumiona Kathryn.

- Dlaczego cię to tak dziwi? - spytała ją Rebeca.

- Właśnie - wtrącił się Marc. - Ja bym na pewno na ciebie głosował.

- Tylko że ja w przyszłym roku w ogóle nie będę startować do wyborów, bo nie będę już chodzić do naszej szkoły.

~ Co?! - zawołali Rebeca i Marc jednocześnie.

Kathryn żałowała, że się z tym zdradziła; nie miała ochoty o tym mówić przy Marcu, ale było już za późno, nie mogła się wycofać.

- Rodzice po rozwodzie zdecydowali się sprzedać dom na Beacon Hill i ja z mamą przeprowadzam się na drugi koniec miasta.

- No, ale przecież mogłabyś dojeżdżać - rzekł Mark.

- Moja mama twierdzi, że nie.

- Dlaczego? - dociękał chłopak.

Kathryn wolała przemilczeć fakt, że jej matka i ojciec mają kłopoty finansowe. Rodzice uczniów Liceum Stuarta nie miewali tego typu problemów, a jeśli nawet, to na pewno się o nich w szkole nie mówiło. Spojrzała na przyjaciółkę z nadzieją, że ta wybawi ją z kłopotliwej sytuacji.

I nie zawiodła się.

- Pewnie ma jakieś swoje powody - rzekła Rebeca, próbując wzrokiem dodać przyjaciółce otuchy.

Marc jednak nie dawał za wygraną.

- A nie mogłabyś się wprowadzić do ojca? On chyba ma jakieś mieszkanie w centrum?

Kathryn nie przyszło to do głowy. Kiedy rodzice powiedzieli jej, że się rozchodzą i ona zostanie z mamą, wydało jej się to zupełnie oczywiste. Nawet nie zastanawiała się nad tym, że mogłoby być inaczej. Ale teraz... Może to byłoby jakieś rozwiązanie? Tata nic jej nie wspominał o kłopotach finansowych, a skoro było go stać na wakacje w Europie, to dlaczego nie miałby dalej płacić za jej szkołę?

Tak czy inaczej wolala teraz o tym nie rozmawiać, postanowiła więc zmienić temat.

- Wiesz już dokładnie, kiedy będziesz w Cannes? - zwróciła się do Marca.

- Tak, przylatujemy tam piętnastego lipca, ale tata od razu na drugi dzień chce wypłynąć na Sycylię. Wrócimy do Cannes koło dwudziestego piątego.

- Powinam już tam wtedy być.

- Świetnie - ucieszył się chłopak. - Dowiedz się dokładnie, gdzie się zatrzymacie.

- Jutro mam się zobaczyć z ojcem, więc go wypytam - obiecała Kathryn.

Kelnerka przyniosła desery i cała trójka zajęła się ich pałaszowaniem... to znaczy Marc nie pałaszował, lecz wytwornie spożywał swoje poires Belle Hellene.

Potem rozmawiali jeszcze o nadchodzących wakacjach. Wreszcie chłopak spojrział na zegarek i dał znać kelnerce, że chce uregulować rachunek. Było przy tym trochę zamieszania, bo dziewczęta - zwłaszcza Rebeca - chciały za siebie zapłacić, Marc jednak, nie zważając na ich protesty, gestem milionera podał kelnerce złotą kartę American Express.

- Muszę pędzić - zwrócił się do Kathryn, kiedy tylko opuścili kawiarnię. - Brat już pewnie na mnie czeka. Zo-

baczymy się w poniedziałek w szkole. Miałem nadzieję, że spotkamy się w czasie weekendu, ale rodzice uparli się, żebym popłynął z nimi na Martha's Vineyard. - Państwo O'Neillowie mieli na tej urokliwej wyspie posiadłość i ich syn z dumą opowiadał o tym, że jego rodzina odpoczywała tam na długo przed tym, zanim na Martha's Vineyard zaczęli spędzać wakacje Clintonowie. - Nie obrazisz się, jeśli nie odprowadzę cię do domu - dodał tonem dżentelmena starej daty.

- Oczywiście, że nie - powiedziała, jak zawsze zauroczona jego sposobem bycia. - To cześć, do jutra.

- Cześć - rzuciła Rebeca takim głosem, jakby mówiła mu: „spadaj”.

- Dlaczego ty go tak nie lubisz? - spytała ją przyjaciółka, gdy ruszyły w stronę swoich domów, a Marc poszedł w przeciwnym kierunku.

- To raczej ja powinnam zapytać, dlaczego ty jesteś w nim tak zakochana, że nie widzisz jego wad? Ale, proszę cię, nie mówmy o tym. Przerabialiśmy to już tyle razy, że... - Rebeca przerwała, widząc na twarzy Kathryn przygnębienie, które w kawiarni starała się ukryć. - Powiedz, o co chodzi z tą twoją przeprowadzką.

Kathryn wyjawiała jej wszystko. W miarę jak mówiła, łzy cisnęły jej się do oczu i w końcu nie była w stanie ich powstrzymać. Zatrzymała się, żeby wyjąć chusteczkę z torby, lecz przyjaciółka ją ubiegła, podsuwając jej pod nos kilka kleenexów.

- Uspokój się - odezwała się łagodnie. - To naprawdę nie jest koniec świata.

- Mówisz tak jak ona - wytknęła jej Kathryn. - Nigdy nie wybaczę mamie tego, że przez swoją ambicję, przez jakąś głupią dumę stracię wszystkich przyjaciół.

- Przestań! Po pierwsze, z tego, co mówiłaś, nie chodzi tu tylko o dumę. Twój rodzice mają kłopoty finansowe i matka nie chce tego zrzucić tylko na ojca. - Rebeca zastanawiała się nad czymś przez chwilę. - Zresztą nawet gdyby chodziło tylko o dumę, to muszę ci powiedzieć, że bardzo mi się podoba postawa twojej mamy. Gdyby moja... - Znowu przerwała, po czym machnęła ręką i dodała: - Nawet nie chce mi się o tym mówić. A po drugie, dlaczego niby masz tracić przyjaciół? Dla mnie jesteś najlepszą przyjaciółką i nią zostaniesz, niezależnie od tego, czy będziesz chodzić do Stuarda, czy do jakiejś innej szkoły. Pewnie, że gdybyś wyjechała gdzieś na Zachodnie Wybrzeże, to trudno byłoby nam się spotykać, ale ty masz przecież mieszkać na przedmieściach Bostonu. Jeżeli to miałyby zniszczyć naszą przyjaźń, to... to co to w ogóle za przyjaźń.

Właśnie dochodziły do domu Rebeki i z daleka zauważyły stojącą przed nim wielką ciężarówkę i mężczyzn w roboczych kombinezonach, którzy wnosili po frontowych schodach jakieś wielkie skrzynie.

- Ktoś się do was wprowadza? - zdziwiła się Kathryn.

- Nie, tylko moja mama dowiedziała się, że architekt wnętrz, który przed rokiem projektował wystrój naszego domu, jest już passę, i wszystko kompletnie zmienia. Jak myślisz, kto za to płaci?

- Twój tata? - odgadła Kathryn.

Przyjaciółka często żaliła jej się na rozrzutność matki, na prawo i lewo szastającej pieniędzmi, na które ciężko pracował jej były mąż, jeden z najlepszych adwokatów w Bostonie. Rebeca bolało to zwłaszcza po tym, jak przed czterema miesiącami jej tata miał zawał serca.

Pokiwała głową i spojrzała Kathryn w oczy.

- Zastanów się nad tym, zanim zrzucisz swojej mamie głupią dumę. Spróbuj ją zrozumieć. Jej na pewno też jest ciężko.

Kathryn myślała o tym, przemierzając wolnym krokiem ostatnie trzysta metrów dzielące ją od domu. Kiedy zobaczyła jego pięknie odrestaurowany fronton, do jej oczu znowu napłynęły łzy.



Rozdział 2

Jesteś na dole, mamgo?! - zawołała Kathryn, zdziwiona tym, że drzwi wejściowe nie są zamknięte na klucz.

- Tak, kochanie, w salonie.

Dziewczyna miała zamiar złać matkę za nieostrożność, bo ostatnio nawet w dzielnicy tak eleganckiej i spokojnej jak Beacon Hill zdarzały się włamania, lecz w salonie zastała oprócz niej trójkę nieznajomych.

- To moja córka, Kathryn - przedstawiła ją pani Porter. - A to są państwo Murrayowie, którzy zastanawiają się nad kupieniem naszego domu, i pani Hunter z agencji nieruchomości.

- Dzień dobry - przywitała się grzecznie dziewczyna. Miała jednak ochotę uciec stąd jak najprędzej. Nie chciała widzieć ludzi, którzy być może będą chodzić po jej pokoju, brać kąpiel w jej łazience, dotykać balustrady przy schodach,

Nigdy nie mów nigdy

po której - ku zgrozie rodziców - tak lubiła zjeżdżać, kiedy była mała.

- Państwo Murrayowie pochodzą z Dallas - wyjaśniła pani Porter, zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo kapelusz gościa, mocno opalonego, potężnie zbudowanego mężczyzny o szczerym uśmiechu, mówił sam za siebie. Takie nakrycia głowy nosi się tylko w Teksasie. - Po wakacjach zamierzają się przenieść do Bostonu.

- Dobrze, że jesteś, panienko - zwrócił się do Kathryn pan Murray. - Właśnie rozmawialiśmy z twoją mamą o szkole. Nasza mała Lucy jest w twoim wieku.

- Lucy to nasza córka - dodała miłym głosem jego żona. - Musimy wybrać dla niej jakąś szkołę i twoja mama...

Mąż nie dał jej dokończyć.

- Myślisz, że naszej małej Lucy podobałoby się w tym twoim Liceum... jak mu tam? Smitha?

No tak, pomyślała dziewczyna, nie dość, że ich córka będzie mieszkała w moim pokoju, to może jeszcze zajmie miejsce w mojej ławce.

- Stuarta - sprostowała. - Mnie podoba się bardzo. - Zerknęła z wyrzutem na matkę i dopiero teraz zauważyła, że w jej uprzejmym uśmiechu nie ma cienia wesołości, a zmarszczki wokół oczu, które dotychczas tworzyły prawie niewidoczną siateczkę, wyraźnie się pogłębiły. Uzmysłowała sobie, że mamie też musi być strasznie smutno, i nie wypowiedziała słów, które miała na końcu języka, o tym, że nigdy nie pogodzi się ze zmianą szkoły. - Widzieli już państwo górę? - spytała grzecznie przybyszy z Teksasu.

- O, tak - odparła natychmiast pani Murray, jakby się

bała, że mąż ją w tym ubiegnie. - Bardzo nam się podobało, naprawdę bardzo, - Po zachwycie w jej oczach widać było, że mówi szczerze.

- Mnie tam, prawdę powiedziawszy, bardziej by od powiadało coś za miastem, ale skoro mojej pani się podoba...

Żona popatrzyła na niego z uśmiechem pełnym wdzięczności i w tym momencie Kathryn uznała, że nie ma co liczyć na to, że na dom na Beacon Hill nie znajdzie się kupiec, więc ona i mama będą mogły w nim zostać. Pożegnała się uprzejmie i poszła na górę do swojego pokoju.

Długo zastanawiała się nad tym, czy już dziś powiedzieć matce o tym, co zasugerował Marc, ale w końcu uznała, że lepiej poczekać z tym do jutra i najpierw omówić sprawę z ojcem. Obawiała się, że mama odbierze jej pomysł jako pewien rodzaj zdrady i będzie jej bardzo przykro. Zresztą Kathryn czuła się trochę jak zdrajczyni, choć z drugiej strony tłumaczyła sobie, że nie byłaby przecież jedynym na świecie dzieckiem rozwiedzionych rodziców, które mieszka z ojcem.

Jutro, jak zwykle w soboty, miała się spotkać z tatą na obiedzie, więc będzie okazja z nim porozmawiać.

W sobotę rano pani Porter zaproponowała Kathryn wizytę u swojej kuzynki Brendy.

- Mogłybyśmy przy okazji rozejrzeć się po okolicy, popytać o szkołę - próbowała zachęcić córkę.

- Pojedź sama - odparła dziewczyna, która wciąż miała nadzieję, że jednak nie będzie musiała zmieniać szkoły. - Ja muszę się trochę pouczyć - skłamała, po czym spojrzała

na zegarek i dodała: - A za cztery godziny przyjeżdża po mnie tata. Pewnie nie zdążyłybyśmy wrócić. Matka zmierzyła ją uważnym wzrokiem.

- Dwa tygodnie przed końcem roku szkolnego musisz się jeszcze czegoś uczyć? - spytała trochę podejrzliwie, - Za cztery godziny spokojnie mogłybyśmy być z powrotem.

- Nie, mam, pojedź sama - odparła Kathryn głosem męczennicy.

- No trudno.

- A właśnie! Czy te nowobogackie cudaki z Teksasu kupią w końcu nasz dom?

- Tyle razy zwracałam ci uwagę, żebyś nie oceniała nikogo na podstawie wyglądu. To bardzo mili, przyzwoici ludzie.

Dziewczyna spuściła głowę. Jej mama, która sama pochodziła z bardzo szacownej, starej bostońskiej rodziny, była niezwykle tolerancyjna i pozbawiona wszelkich uprzedzeń wobec ludzi i Kathryn zawsze ją za to podziwiała.

- Masz rację - przyznała z pokorą.

- Wygląda na to, że kupią - powiedziała pani Porter. - Skoro nie chcesz jechać, to posiedzę trochę u Brendy i wrócę pewnie wtedy, jak ty będziesz na spotkaniu z ojcem.

Córka uśmiechnęła się do niej niepewnie; czuła, że nie jest wobec matki całkiem w porządku, lecz w tej chwili cel, który Kathryn przyświecał, wydawał się jej najważniejszy.

L,żeść, tata! - Kathryn wgramoliła się na nieprawdopodobnie niskie siedzenie porsche carrery ojca i ucałowała go w oba policzki.

- Cześć, skarbie. - Pan Porter, jak zawsze, przytulił córkę, lecz ta wyczuła w nim jakąś rezerwę. - Bardzo głodna?

- Jak wilk. Gdzie jedziemy? Do Mammy Marii? - Od trzech miesięcy co sobotę jeździli na obiady do włoskiej restauracji, w której podawano wspaniale przyrządzone owoce morza i pyszne świeże pieczywo domowej roboty.

- Nie - odparł ojciec. - Dziś będzie niespodzianka. Zawsze uwielbiałaś niespodzianki, prawda?

- Owszem, wtedy, jak wiedziałam, co mnie czeka, i tylko udawałam, że nie mam o niczym pojęcia. - Roze śmiała się.

Pan Porter oderwał jedną rękę od kierownicy i pogłaskał Kathryn po policzku.

- Cała moja córeczka!

- No, powiedz - nalegała dziewczyna. - Tak naprawdę to nie znoszę niespodzianek, tych prawdziwych.

- Musisz jeszcze trochę poczekać. Cierpliwość jest największą z cnót.

- I kto to mówi?! - prychnęła Kathryn, która pamiętała, że najczęściej powodem sprzeczek między jej rodzicami była niecierpliwość ojca.

- Ja to mówię - odrzekł pan Porter niezbyt pewnym tonem i jeszcze raz pogłaskał córkę, tym razem po jej długich lśniących włosach o barwie świeżo wyłuskanego kasztana.

Niby zachowywał się tak jak zawsze, lecz dziewczyna wyczuwała w nim napięcie, nie zastanawiała się jednak dlaczego, bo skupiła się na drodze, próbując odgadnąć cel, do którego zmierzali. Kiedy znaleźli się na Pierwszej Alei

w pobliżu przystani marynarki wojennej Charlestown Navy Yard, nie miała wątpliwości.

- Gabriele! - zawołała.

Już prawie dojeżdżali do najelegantszej w Bostonie włoskiej restauracji z pięknym tarasem, w której czasami bywała z rodzicami; ostatnio byli tu rok temu z okazji urodzin mamy. Kathryn natychmiast przyszło do głowy, że skoro tata może sobie pozwolić na obiad w jednym z najdroższych lokali w mieście, to może będzie go również stać na dalsze opłacanie jej szkoły. Trochę wstydziła się przed sobą własnej interesowności, mimo to humor wyraźnie jej się poprawił.

- To wspaniała niespodzianka - powiedziała z zachwytem.

- Niecała.

Kathryn popatrzyła na ojca badawczo, ale on właśnie parkował i miał odwróconą głowę, więc nie dostrzegła wyrazu jego twarzy.

Kiedy wchodzili do luksusowej restauracji, poczuła się smutna, że nie ma z nimi mamy. *Zawsze* przecież przychodzili tu we trójkę.

- Dzień dobry, panie Porter - przywitał ich kierownik sali.

- Witaj, Mario - powiedział ojciec Kathryn, familiarnie poklepując niewysokiego Włocha po ramieniu.

Dziewczyna nie przypominała sobie tego mężczyzny, jednak po ich stopniu zażyłości domyśliła się, że tata ostatnio musiał bywać tu często.

- Bon giorno, signorina - przywitał ją Mario, po czym znów zwrócił się do jej ojca: - Signora już siedzi przy państwa stoliku.

Kathryn mocno się zdziwiła, że ktoś na nich czeka, ale nie miała okazji zapytać ojca, o co chodzi, bo natychmiast pojawił się kelner, przywołany przez kierownika sali, i poprowadził ich na taras. Tylko dwa stoły były tu zajęte. Przy jednym siedziało sześć osób, ale nie ten zainteresował dziewczynę. Jej wzrok pobiegł w róg tarasu, gdzie, zwrócona twarzą do wejścia, siedziała piękna i elegancka kobieta.

Kathryn zatrzymała się w pół kroku i popatrzyła na ojca. Miała ochotę odwrócić się i uciec. Wiedziała, że wcześniej czy później jej rodzice znajdą sobie nowych partnerów - podejrzewała nawet, że pierwszy będzie tata - ale nie była na to gotowa. Jeszcze nie.

Ojciec musiał wyczuć jej rozterkę, bo objął ją jednym ramieniem, uśmiechnął się niepewnie, i powiedział:

- Chodź, skarbie, poznasz kogoś, kto jest mi bardzo bliski.

Kathryn ruszyła przed siebie wolnym krokiem, jak skazaniec prowadzony na szubienicę.

Kiedy zbliżyli się do stolika w rogu tarasu, elegancka blondynka wstała i wtedy okazało się, że ma nie tylko piękną twarz, ale jest również bardzo zgrabna. Kathryn, wbrew sobie, zaczęła ją porównywać z matką, rozpaczliwie próbując dostrzec w nieznanym jakiejś wady. Ta jednak, przynajmniej na pierwszy rzut oka, jakoś nie chciała ich mieć.

Pan Porter przywitał się ze swoją przyjaciółką tak, że jego córka nie miała już żadnych wątpliwości, że tata i ta kobieta są naprawdę bardzo sobie bliscy.

- Jessico, poznaj Kathryn. Skarbie - zwrócił się córki - to jest Jessica Hoover, moja... - Nie mógł znaleźć właściwego słowa.

- Tak się cieszę, że wreszcie cię poznałam - wybawiła go z opresji Jessica. - Twój tata tyle mi o tobie opowiadał - dodała z uśmiechem, choć najwyraźniej też była zmieszana.

- Ja o pani nic nie słyszałam - powiedziała Kathryn dość oziębłym głosem i spojrzała na ojca z wyrzutem. Po początkowym szoku zaczynała dochodzić do siebie, miała jednak do taty pretensje, jeśli już nie o to, że kogoś ma, to na pewno o to, że jej o tym nie uprzedził. Przyszło jej nawet do głowy, że być może zabrakło mu na to odwagi.

- Zastanawiałem się na tym - rzekł pan Porter, - Ale w końcu doszedłem do wniosku, że może zamiast opowiadać ci o Jessice, lepiej zrobię, jak was ze sobą poznam.

Kathryn wcale nie podzielała jego zdania, lecz przemilczała to. Przy stole zapanowała napięta cisza. Teraz już cała trójka była chyba zdania, że decyzja ojca, by skonfrontować córkę z faktami bez wcześniejszego poinformowania jej o nich, nie była najszcześniejsza.

- Wiesz, skarbie, zależało mi na tym, żebyś jak najszybciej poznała Jessicę, bo... bo wkrótce zamierzamy się pobrać.

Kathryn zamurowało.

Ojciec popatrzył na nią tak, jakby prosił wzrokiem o wyrozumienie, dziewczyna jednak postanowiła go nie okazać.

- Wolałem, żebyś dowiedziała się o tym przed naszym ślubem.

- Dlaczego? - spytała dość zadziornie. - Chcesz powiedzieć, że wziąłbyś pod uwagę moje zdanie, gdybym uznała wasz ślub za kiepski pomysł.

- No... niezupełnie - przyznał, zerkając na swoją przyszłą żonę.

Jessica uśmiechnęła się niepewnie; najwyraźniej nie

czuła się dobrze w tej sytuacji. Kathryn uświadamiała to sobie, lecz wcale się tym nie przejmowała, odczuwała nawet z tego powodu pewną satysfakcję. Ta kobieta zabierała jej przecież tatę!

- Więc kiedy jest ten wasz ślub?
- Dwudziestego drugiego Jipca.

Dziewczyna nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Co?! - wydusiła, kiedy wreszcie doszła do siebie. - Przecież dwudziestego mieliśmy lecieć do Francji - przy pomniała ojcu.

- Tak, skarbie, wiem... - Pan Porter przerwał na chwilę, lecz córka patrzyła na niego wyczekująco. - Obiecałem ci wakacje na Lazurowym Wybrzeżu i dotrzymam obietnicy, tyle że trochę później.

- To znaczy kiedy?

- W przyszłe wakacje? - zasugerował ojciec takim to nem, jakby wiedział, że córka nie będzie tym zachwycona. - A w czasie zimowych ferii możemy polecieć gdzieś na Karaiby.

Kathryn czuła się tak, jakby próbował ją przekupić - Francja w przyszłym roku i Karaiby w zimie za Lazurowe Wybrzeże tego lata... Całkiem niezły interes, tyle że ona nie zamierzała ubijać z ojcem interesów; chciała wyjechać z nim na wakacje tak, jak to było zaplanowane.

Pan Porter, zdając sobie sprawę, że postawił przyszlą żonę w dość niezręcznej sytuacji, delikatnie ujął jej dłoń. Ten gest, oczywiście, nie umknął uwagi jego córki. Kathryn zrozumiała, że nie ma szans w walce z Jessicą o względy ojca, zresztą nie miała nawet ochoty staczać tego pojedynku.

Resztkami sił walczyła o to, by nie wybuchnąć płaczem. Kiedy podszedł kelner, by przyjąć zamówienie, ocierała z kącików oczu łzy.

Żadne z nich nie zerknęło nawet do leżących na stole eleganckich kart. Kathryn nie wyobrażała sobie, że w ogóle będzie mogła coś przełknąć.

- Właściwie to straciłam cały apetyt - powiedziała.
- Wybrać ci coś? - spytał pan Porter. - Zawsze udawało mi się trafiać w twój gust.

Widać było, że czuje się winny wobec córki. I słusznie, pomyślała dziewczyna. W ciągu zaledwie dziesięciu minut poznała kobietę, z którą wkrótce miał się ożenić, wakacyjne plany legły w gruzach, a o tym, by zamieszkać z ojcem i dalej chodzić do Liceum Stuarta, nawet nie chciała już rozmawiać.

- To co? Mam ci coś wybrać? - zapytał jeszcze raz pan Porter.

Dziewczyna skinęła głową.

Ogólnie rzecz biorąc, całe to spotkanie było jedną wielką katastrofą, i to dla wszystkich. Kathryn milczała, marząc tylko o tym, żeby jak najszybciej wrócić do domu.

- Nie smakowało, signorina? - spytał zmartwionym głosem zbierający talerze młody kelner, widząc, że zostawiła połowę grillowanych królewskich krewetek w sosie czosnkowo-bazylio wym.

- Nie, pyszne - odparła, - Po prostu straciłam apetyt - dodała, zerkając na ojca z nadzieją, że ten wciąż się czuje winny.

- Czy podać kartę deserów? - zapytał kelner.
- Ja dziękuję - powiedziała natychmiast Kathryn.
- Jesteś pewna? - zdziwił się pan Porter, bo jego łąsa

na słodycze córka nigdy nie rezygnowała z deseru. - To ja chyba też podziękuję - zwrócił się do młodego Włocha.

- Ja również - rzuciła Jessica.

- Może w takim razie cappuccino albo espresso - za proponował kelner, ale na kawę też nikt nie miał ochoty.

Kathryn, która wiedziała, że dla taty obiad bez filiżanki mocnego espresso nie jest prawdziwym obiadem, znów poczuła złośliwą satysfakcję. I jeszcze coś ją ucieszyło. Widząc na kieliszku Jessiki czerwony ślad po pomadce, zerknęła na jej twarz i wreszcie ujrzała coś, czego na początku tego spotkania nie mogła się dopatrzeć. Jej przyszła macocha nie była skończoną pięknoscią. Więcej od morza wiatr rozwiął fryzurę, usta nie miały tej doskonałej linii, a cera, po godzinie przebywania w prawie trzydziestostopniowym upale, nie wydawała się już tak idealna.

Niestety te małe zwycięstwa nie na długo przyniosły Kathryn ulgę. Wciąż była rozżalona, czuła się zdradzona i nie mogła się doczekać chwili, kiedy wróci do domu i nie będzie już musiała walczyć ze łzami.

- Mam nadzieję, że kiedyś mnie zrozumiesz i wybaczysz mi tę zmianę wakacyjnych planów - powiedział pan Porter, zatrzymując się pod domem na Beacon Hill. - To przecież nie jest koniec świata - dodał, całując córkę w oba policzki, a potem jeszcze w czoło.

Nigdy, pomyślała Kathryn, która miała już serdecznie dosyć tego, że rodzice stawiają na głowie jej życie, po czym tłumaczą, że „to nie jest koniec świata”.

- Cześć! - rzuciła. Wysiadła tak szybko, jak tylko może na - co przy niskim zawieszaniu porsche wcale nie jest proste.

- Pozdrów mamę! - zawołał ojciec, kiedy dziewczyna była już na schodach.

W drodze do swojego pokoju Kathryn musiała przejść obok pomieszczenia, w którym jeszcze przed trzema miesiącami był gabinet ojca. Gdy wychodziła z domu, drzwi do niego były zamknięte, teraz zobaczyła, że są lekko uchylone.

Otworzyła je i zdziwiła się, widząc przy biurku mamę, pochyloną nad jakimiś papierami.

- Co ty tu robisz? - spytała.

- A, to ty! Tak szybko wróciłaś? - Pani Porter zdjęła okulary do czytania i spojrzała na córkę. - Wracając od Brendy, wstąpiłam do Susan Carter... Pamiętasz ją, to ta moja koleżanka, poznałaś ją w zeszłym miesiącu...

- Ta, z którą pracowałam w redakcji, zanim się urodziłam, i teraz została redaktorem naczelnym w jakimś wydawnictwie?

- Właśnie. Powiedziałam jej, że rozglądam się za jakimś zajęciem, i zaproponowała mi zredagowanie tej książki. - Matka wskazała leżące na biurku kartki.

- Będziesz znów pracowała w wydawnictwie? - spytała dziewczyna nie bez pewnego podziwu.

- To jeszcze nie praca, tylko luźna współpraca, a i tak nie wiem, czy sobie z tym poradzę. Po tylu latach trudno jest wrócić do zawodu, ale muszę próbować.

- To nie będę ci przeszkadzać - rzekła Kathryn, choć tak naprawdę chciała z mamą porozmawiać.

Już otwierała drzwi do swojego pokoju, kiedy usłyszała głos matki.

- Kathryn, zaczekaj! - Pani Porter wyszła z gabinetu i patrzyła na odwróconą do niej plecami córkę. - Coś się stało, prawda?

Dziewczyna spojrzała na nią oczami pełnymi łez i pokiwała głową. Matka podeszła do niej i mocno przytuliła. Po chwili otworzyła drzwi, wprowadziła ją do pokoju i posadziła na łóżku.

- No, uspokój się. Cokolwiek to jest, na pewno da się coś z tym zrobić - mówiła, gładząc córkę po włosach.

- Nic... nic się nie da... zrobić. - Kathryn wciąż zanosila się płaczem.

- Nie ma w życiu takich sytuacji.

- Tata się żeni! - zawołała dziewczyna, - I co? Dalej uważasz, że można coś z tym zrobić?

Patrzyła z napięciem na matkę. Ta milczała długo; widać było, że wiadomość ją zaskoczyła,

- Owszem - odezwała się w końcu pani Porter nieco drżącym głosem. - Trzeba to zaakceptować,

- Ale to nie wszystko - ciągnęła Kathryn. - Nie jadę z nim do Francji, odwołał wyjazd.

W pokoju zapanowała cisza. Dziewczyna patrzyła na matkę, przekonana, że ta za chwilę wyrazi oburzenie postępowaniem byłego męża. Pani Porter jednak powiedziała bardzo spokojnie:

- Pewnie ma jakieś powody.

- Jasne, że ma. Przecież się żeni. Nawet poznałam dzisiaj tę jego przyszlą żonę... - Kathryn przerwała i zerknęła na mamę. - Nie ciekawi cię, jak ona wygląda? - zdziwiła się.

- Chyba wiem. Pani Donovan wspomniała, że widziała go w teatrze z jakąś blondynką.

Pani Donovan, znajoma rodziców Kathryn, była chyba najlepiej poinformowaną w Bostonie osobą i zawsze chętnie dzieliła się ze wszystkimi swoimi rewelacjami. Jeśli się chciało wiedzieć, kto z kim i gdzie, wystarczyło się do niej zwrócić.

- Wiedziałaś i nic rai nie mówiłaś?! - zawołała dziewczyna z wyrzutem.

- Wolałam, żeby tata sam ci o tym powiedział. - Pani Porter znów pogłaskała córkę po głowie. - Posłuchaj, cokolwiek teraz myślisz, tata bardzo cię kocha i nic, wierz mi, nic tego nie zmieni.

Kathryn wcale nie była o tym przekonana. Nawet jeśli ojciec rzeczywiście ją kochał, to nie tak, jak tę swoją Jessicę, ale tego przecież nie mogła mamie powiedzieć". Wiedziała bowiem, że mimo pozornego spokoju matka jest poruszona. - Musimy się zastanowić, co zrobić z twoimi wakacjami - odezwała się rzeczowym tonem pani Porter. - Nie będziesz przecież siedzieć w mieście, a ja nie bardzo mogę z tobą wyjechać. Babcia z dziadkiem będą przez całe lato na Cape Cod. Na pewno bardzo by się ucieszyli, gdybyś spędziła z nimi wakacje.

Kathryn uwielbiała dziadków ze strony mamy, i gdyby nie to, że tak bardzo się nastawiła na wyjazd na południe Francji i spotkanie tam Marca, perspektywa spędzenia z nimi kilku tygodni na pewno by ją ucieszyła.

- Wiem, że to nie to, o czym marzyłaś - powiedziała mama, jakby czytała w jej myślach.

- Wspominałam ci o tym, że Marc O'Neill będzie w Cannes?

- Tak, kochanie. - Pani Porter przytuliła córkę. - Przykro mi, że się nie spotkacie. Wiem, jak ci na tym zależało...

Jackie Stevens

- Nie wiesz, nie możesz sobie tego wyobrazić...
Matka uśmiechnęła się.
- Dlaczego szesnastoletnie dziewczyny nie chcą zrozumieć, że ich matki w tym wieku też były zakochane?
- Przecież wtedy nie znałaś jeszcze taty.
- I tego, że mogły kochać kogoś jeszcze, poza ich ojcami...



Rozdział 3

Jvathryn stała z mamą na promie płynącym do Provincetown. Cieszyła się, że wkrótce zobaczy dziadków, tym bardziej że w Bostonie nic jej teraz nie trzymało. Rebeca przed tygodniem wyjechała z ojcem na wakacje, a Marc przed trzema dniami poleciał do Francji. Obiecał zaraz po przylocie do Cannes wysłać e-maila, ale nie zrobił tego.

Właśnie o tym myślała, wystawiając twarz do słońca i bezskutecznie próbując przytrzymać za uszami włosy, niemilosernie smagane wiatrem. Wzięła ze sobą laptopa, licząc na to, że wiadomość od Marca wreszcie nadejdzie. Dziadkowie co prawda nie tolerowali w swoim domu na Cape Cod wszelkich wynalazków takich jak komputer czy nawet telewizja -jedynymi wyjątkami były telefon i radio -Kathryn miała jednak nadzieję, że małego laptopa uda jej się przemycić.

Pani Porter zamierzała spędzić weekend w domu letniskowym rodziców, a potem wrócić do Bostonu. Jej córka miała zostać na Cape Cod do końca sierpnia.

Po zakończeniu roku szkolnego Kathryn przez prawie tydzień pakowała swoje rzeczy do pudeł dostarczonych przez firmę specjalizującą się w przeprowadzkach. Wszystko to miało być przewiezione w sierpniu do domu kuzynki pani Porter, bo dopiero wtedy wyprowadzali się jego obecni mieszkańcy.

Zostawiając za plecami Boston, Kathryn czuła się tak, jakby żegnała się z dawnym życiem. Kiedy za sześć tygodni wróci do miasta, wszystko będzie dla niej nowe - dom, szkoła, koledzy, koleżanki.

Co do jednej tylko osoby nie miała wątpliwości, że nadal będzie jej przyjaciółką. Rebeca w ciągu ostatnich trzech tygodni potwierdziła swoim zachowaniem stare przysłowie, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. To dzięki niej Kathryn jakoś przetrwała ten trudny okres. Rebeca wiedziała, kiedy pocieszyć przyjaciółkę, dać się jej wygadać, zając ją czymś innym albo pozwolić się wypłakać. Ale wiedziała również, kiedy należy ją zbesztać za zbyt nie rozżalenie się nad sobą. I za to najbardziej Kathryn była jej wdzięczna.

Pani Porter dostrzegła chyba ponury nastrój córki, bo spróbowała go poprawić w sposób, który zwykle skutkował.

- Chodź, zobaczmy, jakie lody mają w barze - zaproponowała.

Kathryn nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Musiały co prawda odczekać swoje w kolejce przy barku na dolnym pokładzie, ale po piętnastu minutach siedziały na zewnątrz, każda z wielką porcją lodów.

- No tak, wreszcie widzę pierwszy plus spędzania wakacji na Cape Cod - powiedział Kathryn, oblizując plastikową łyżeczkę. - Gdybym teraz siedziała na Lazurowym Wybrzeżu, pewnie liczyłabym każdą kalorię, a tu i tak, poza dziadkami, nikt nie będzie na nas patrzył.

- Czasami życie nas zaskakuje - odezwała się jej matka z rozmarzeniem. - Nieraz w miejscu, po którym niczego się nie spodziewamy, spotykamy kogoś...

- Ale nie na „łokciu” - przerwała jej córka, śmiejąc się głośno.

Cape Cod, leżący na południe od Bostonu półwysep, ma kształt zgiętej ręki, skierowanej „dłonią” ku północy. Jego południowa część, oddzielona od stałego lądu kanałem, jest najbardziej zaludniona i tłoczna; na „dłoni” usytuowane jest największe miasto półwyspu, Provincetown, a zgięty łokieć jest miejscem dzikim i wyludnionym. Właśnie tam dziadkowie Kathryn od lat spędzali wakacje.

- A wiesz, że właśnie tam zakochałam się po raz pierwszy w życiu - powiedziała matka.

- Nie wierzę.

Kiedy pani Porter kończyła swą romantyczno-komiczną opowieść i obie z córką zaśmiewały się do łez, prom, po trzygodzinnym rejsie, dopływał już do Provincetown.

Minęły już dwa tygodnie, od kiedy Kathryn zamieszkała w drewnianym, malowanym na biało domu dziadków. Mama wróciła do Bostonu, a tu życie toczyło się w wolnym rytmie, wyznaczanym jedynie porami przyływów i odpływów morza.

Przez pierwszy tydzień Kathryn co kilka godzin włączała komputer, wciąż licząc na to, że upragniony e-mail od Marca wreszcie przyjdzie. Po tygodniu sama wysłała do niego krótką wiadomość z prośbą, żeby się odezwał, ale miały kolejne dni, a odpowiedź nie przychodziła.

Pani Crawford, widząc, że wnuczkę coś gnębi, próbowała ją wypytwać, ale dziewczyna nie była skłonna do zwierzeń. Wołała raczej wypuszczać się na rowerowe wycieczki po okolicy albo chodzić godzinami po plaży w towarzystwie Tajfuna - czarnego labradora dziadków.

Któregoś dnia przy podwieczorku babcia poprosiła ją, żeby pojechała do apteki w Chatham, oddalanej o niecałe dziesięć kilometrów starej rybackiej osady, Kathryn zgodziła się chętnie i po spałaszowaniu dwóch porcji świeżo upieczonego ciasta z malinami natychmiast ruszyła.

Droga do osady zajęła jej nie więcej niż pół godziny. Kiedy dziewczyna wychodziła z apteki, słońce wisiało jeszcze dość wysoko na niebie, postanowiła więc wybrać okreśną, ale piękną drogę wzdłuż wydm. Nawierzchnia była co prawda asfaltowana, ale wiatr od morza naniósł na nią miejscami tyle piasku, że czasami Kathryn musiała zsiadać z roweru i kawałek go prowadzić. Kiedy zerknęła na zegarek, stwierdziła, że minęła już prawie godzina od chwili gdy opuściła Chatham, a do latarni morskiej, od której do domu Crawfordów było dobre sześć kilometrów, miała jeszcze ładny kawałek.

Obawiając się, że dziadkowie zaczną się martwić jej długą nieobecnością, postanowiła już nie zsiadać z roweru i pedałowac trochę ostrzej. Trzy niskie zasy naniesionego piasku pokonała bez większych przeszkód, ale przy czwartej

miała mniej szczęścia. Rower podskoczył na jakiejś twardej przeszkodzie tak gwałtownie, że dziewczynie nie udało się utrzymać równowagi. Padając, starała się przestrzegać wskazówki ojca, który ucząc ją dawno temu jazdy na rowerze, powtarzał w nieskończoność: „Uważaj tylko na głowę”.

No i głowa była cała, lecz z obu potłuczonych kolan ściekała krew. Kathryn, nie podnosząc się z ziemi i krzywiąc z bólu, sięgnęła do plecaka, który wprawdzie wypadł z przytwierdzonego do roweru koszyka, ale leżał pół metra od niej, i wyjęła chusteczki. Gdy dotknęła prawego, bardziej obtłuczonego, kolana, aż zasyczała, bo ziarenka piasku wbiły jej się przy tym w ranę. Na szczęście przypomniała sobie, że ma w plecaku butelkę wody mineralnej. Obchodząc się z nią oszczędnie, jakby była na pustyni, połała oba kolana z nadzieją, że w ten sposób pozbędzie się z nich piasku, po czym znów przyłożyła do rany chusteczkę. Tym razem ból był już do zniesienia, ale kiedy po chwili spróbowała się podnieść, znów potwornie ją zapiekło i z powrotem usiadła na ziemi. Dopiero za drugim podejściem w miarę pewnie stanęła na nogach.

Jednak na myśl o tym, że albo będzie musiała wsiąść na rower, albo prowadzić go jakieś osiem kilometrów, zachciało jej się płakać. Prawdopodobieństwo, że tą boczną drogą będzie akurat przejeżdżał ktoś, kto zlituje się nad Kathryn i ją podwiezie, było bliskie zeru. Od kiedy opuściła Chatham, nie minął jej żaden samochód ani rowerzysta, a zapadający zmrok nie zwiększał szans na pojawienie się wybawiciela.

Zaczęła więc rzeczowo rozważać, czy lepiej cierpieć mniej, ale dłużej, czy mocniej, ale krócej. Dostyc szybko wybrała tę drugą opcję i postanowiła jednak wsiąść na rower.

Już przerzuciła nogę przez ramę, kiedy zerknęła na łańcuch.

- Nie, tylko nie to...

Jeszcze nigdy w życiu nie udało jej się nałożyć łańcucha i wiedziała, że teraz też tego nie dokona, wyglądało bowiem na to, że zakleszczył się na dobre. Bohatersko próbowała nakładać go za pomocą kawałka ułamane-patyka - tak jak uczył ją kiedyś dziadek - lecz uparty i wyjątkowo złośliwy łańcuch, jeśli udało jej się nałożyć go na część koła zębatego, spadał z innej jego części.

Zaferowana walką ze złośliwością rzeczy martwych nie usłyszała nadjeżdżającego samochodu, zresztą huk fal za wydmami i krzyk mew skutecznie zagłuszały inne dźwięki.

Raczej czując, niż słysząc, że coś się dzieje za jej plecami, odwróciła się i zobaczyła, że dwadzieścia metrów od niej zaparkował stary pick-up, ciągnący przyczepę z równie starym niewielkim jachtem. Z samochodu wysiadł ciemnowłose opalony chłopak i ruszył w stronę Kathryn.

- Cześć, jestem rycerzem w lśniącej zbroi, który wybawia dziewczice z opresji.

Kathryn odetchnęła z ulgą. Nie знаła tego chłopca, ale widząc jego szczery uśmiech, naprawdę poczuła się wybawiona.

- Mówiąc o lśniącej zbroi, masz na myśli tego obdrapanego pick-upa czy tę przerdzewiałą łajbę na przy czepie? - spytała, uśmiechając się.

- A co by ci się bardziej podobało?

- W tej sytuacji chyba jednak pick-up - odparła, pokazując poranione kolano i rower z najbardziej złośliwym łańcuchem na świecie.

- O rany - rzucił, zerkając na jej nogi.

Potem popatrzył na rower, wyjął patyk, który Kathryn niedawno z takim trudem wepchnęła między łańcuch a koło zębate, coś poczarował - była absolutnie pewna, że to musiały być czary - i łańcuch był na swoim miejscu.

- Dzięki - szepnęła, trochę rozczarowana, że jednak przyjdzie jej pedałować.

- Nie ma za co - rzekł chłopak.

- Jest za co, uratowałeś mi życie. Nie wiem, jak bym się dowlokła do domu, prowadząc tę wredną bestię. - U dziadków było kilka rowerów. Tego postanowiła już nigdy nie dotykać. - Naprawdę ci dziękuję - dodała, przerzucając nogę przez ramę.

- Zaczekaj! - zawołał chłopak. - Chyba nie zamierzasz jechać po ciemku z tymi obtluczonymi kolanami.

Kathryn dopiero teraz zorientowała się, że słońce już zaszło.

- Dlaczego? - spytała tak, jakby myślała, że ktoś mógłby ją podwieźć, w ogóle nie przyszła jej do głowy.

Chłopak schylił się i podniósł z piasku wielki konar, ten który spowodował jej wypadek.

- Chcesz jeszcze raz wpaść na coś takiego? - spytał, po czym podniósł rower i zaniósł go na tył pick-upu, - Gdzie cię zawieźć?

Kathryn zaczęła mu opisywać drogę do domu dziadków, ale przerwał jej w połowie.

- Do państwa Crawfordów?

- Skąd wiesz? - zdziwiła się.

- Jesteś ich wnuczką, prawda?

- Tak - odparła zdumiona dziewczyna.

- Twój dziadek opowiadał mi o tobie. Mówił, że spędzisz z nimi wakacje - wyjaśnił chłopak.

Teraz już bez najmniejszych oporów wsiadła do pick--upa.

- Skąd znasz mojego dziadka?

- Przyjaźni się z moim dziadkiem. A poza tym pomagam mu obsiewać trawą plażę w pobliżu jego domu.

Kathryn wiedziała, o czym on mówi. Letniskowy dom państwa Crawfordów znajdował się na terenie rezerwatu Cape Cod National Seashore. Morze co roku zabiera metr łądu z północnej części półwyspu - tej bliżej „dłoni” - i przenosi stamtąd piasek na „łokieć”. Żeby zapobiec dalszym wędrówkom piasku na południe, rozrastające się tu wydmy obsiewa się trawą. Akcję tę rozpoczął już John Kennedy i dziadek Kathryn szczylił się, że jest jednym z jej kontynuatorów.

- Słyszałaś coś o tym? - spytał chłopak,

- Tak, oczywiście - odparła, trochę rozcieszona, że dziadek poprosił o pomoc kogoś obcego, a nie zwrócił się z tym do niej. - Mieszkasz tu na stałe czy przyjeżdżasz tylko na lato?

- Od małego co roku spędzam tu wakacje. Mój dziadek ma dom jakieś trzy kilometry na północ od państwa Crawfordów.

- Ten jasnoniebieski, kryty gontami? - domyśliła się Kathryn.

- Tak. Byłaś tam? - zdziwił się chłopak. - Nie widać go od strony drogi.

- Często chodzę wzdłuż plaży z psem dziadków - wyjaśniła. - I kilka razy doszłam aż tam.

- Dziwne, że cię nie spotkałem - rzekł, skręcając na drogę, która prowadziła do posiadłości państwa Crawfordów.

Nagle oślepiły ich światła i Kathryn rozpoznała jadącą z naprzeciwka terenową toyotę dziadka.

Chłopak zjechał w prawo na tyle, na ile pozwalały rosnące przy drodze drzewa, i zatrzymał pick-upa. Pan Crawford, podjeżdżając do nich, zahamował, opuścił szybę i wystawił głowę.

- Nie widziałeś gdzieś po drodze...? - Przerwał, kiedy w pasażerze pick-upu rozpoznał wnuczkę. - Dzięki Bogu! - zawołał. - Odnalazła się zguba. Właśnie jad? cię szukać.

Kathryn przechyliła się w stronę szyby od strony kierowcy.

- Przepraszam, dziadku. Niedaleko latarni popsuł mi się rower, a... - Zerknęła na swego wybawcę i dopiero teraz uświadomiła sobie, że nawet nie wie, jak mu na imię

- Scott - szepnął chłopak.

- A Scott, który akurat tamtędy przejeżdżał, był tak miły i mnie podwiózł. Naprawdę przepraszam, że martwiliście się przeze mnie.

- Bogu dzięki, że nic ci się nie stało. Ale jedźcie już do domu, bo babcia pewnie umiera ze strachu. Ja spróbuję gdzieś tu zawrócić.

Pani Crawford, widząc wnuczkę, nie mogła powstrzymać łez szczęścia, ale kiedy zobaczyła jej obtłuczone kolana, znów zaczęła się zamartwiać

- Trzeba to natychmiast zdezynfekować - zarządziła. - Jeszcze wda ci się zakażenie.

- Ależ, babciu, nic mi nie będzie - opierała się dziewczyna, trochę wstydząc się przed chłopakiem, że starsza pani traktuje ją jak małe dziecko.

Ten tymczasem mrugnął do niej porozumiewawczo i poradził:

- Ja bym nawet nie próbował się opierać pani Crawford. Kiedyś, jak pomagałem twojemu dziadkowi naprawiać pomost, zdarłem sobie naskórek na łokciu i musiałem się poddać prawie chirurgicznemu zabiegowi.

Starsza pani potarła go po czuprynie i Kathryn dopiero teraz, widząc Scotta z rozczochranymi ciemnymi włosami, uświadomiła sobie, jak bardzo jest przystojny. Prawie tak przystojny jak Marc... a może nawet przystojniejszy. Równocześnie zdziwiła się, że jego i jej dziadków łączy tak bliskie stosunki.

- Marsz do łazienki - nakazała wnuczce pani Crawford, po czym zwróciła się do Scotta: - Zostaniesz u nas na kolacji, prawda?

- Chętnie skorzystałbym z zaproszenia, ale dziadek czeka na mnie ze świeżo usmażonymi rybami, które sam złowił. Pewnie są wielkości mojego małego palca - dodał z uśmiechem chłopak - ale wie pani, jaki on jest dumny z każdego swojego połowu.

- No tak - przyznała starsza pani i pokiwała głową. - W takim razie nie będę cię zatrzymywać. Pozdrów go ode mnie, a jak wam się znudzą te wasze ryby, to może obaj wpadniecie do nas na kolację.

- Z przyjemnością. - Minę miał taką, jakby już miał po dziurki w nosie jedzenia ryb i marzył mu się porządny stek.

- Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie wnuczki.

- Ja też naprawdę ci dziękuję - powiedziała Kathryn.

- Nie ma za co - rzucił, po czym ciszej dodał: - Jestem w końcu rycerzem w lśniącej zbroi. Do widzenia. Pewnie niedługo się spotkamy.

- Mam tylko nadzieję, że tym razem nie będziesz musiał ratować mnie z opresji.

I ego dnia Kathryn zasnęła szybciej niż zwykle. Zanim zapadła w sen, przypomniała sobie jeszcze, że po raz pierwszy, odkąd przyjechała do dziadków, nie sprawdziła w komputerze, czy przyszedł e-mail od Marca. Przemknęło jej przez głowę, żeby wstać i to zrobić, ale w końcu senność zwyciężyła ciekawość.

Nazajutrz włączyła komputer dopiero po śniadaniu, na nic specjalnie nie licząc. Ale w życiu często tak bywa, że długo oczekiwane wiadomości przychodzą dopiero wtedy, kiedy właściwie przestaje się już na nie czekać. Gdy na ekranie pojawił się napis „Masz wiadomość”, nie wierząc własnym oczom, Kathryn automatycznie kliknęła na ikonę i przeczytała:

„Cześć, Kathryn. Przepraszam, że tak długo się nie odzywałem, ale tu tyle się dzieje. Jest po prostu odjazdowo. Żałuj, że Cię tu nie ma”.

To wszystko... Ani słowa o tym, że nie miał dostępu do linii telefonicznych i stałych łączy e-mailowych, a przecież na takie wyjaśnienie w skrytości ducha liczyła. Miała nadzieję, że kiedy Marc wreszcie da znak życia, jakoś wytłumaczy jej swoje długie milczenie. Teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo się oszukiwała; wiedziała przecież, że nawet na jachcie jego ojca jest komputer i pan O'Neill o każdej porze dnia i nocy może się łączyć ze swoją firmą w Stanach. Marc, gdyby tylko chciał, z pewnością mógłby z niego skorzystać.

Najbardziej zabolęły ją jednak ostatnie słowa wiadomości. „Żałuj, że cię tu nie ma”. „Żałuj”, a nie „szkoda”. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że być może jej przyjaciółka miała rację co do Marca, który, zdaniem Rebeki, był chłopakiem tak bardzo zapatrzonym w siebie, że poza

własną osobą nie interesował go nikt. Kiedyś Kathryn wynajdowała różne argumenty na odparcie takich zarzutów, dziś żaden nie przychodził jej do głowy.

Po śniadaniu, kiedy zabierała naczynia ze stołu, a potem wycierała podawane przez babcię talerze i filiżanki -zmywarka jako wymysł nowoczesności w letniskowym domu państwa Crawfordów nie była mile widzianym sprzętem - wciąż myślała o Marcu i, niestety, nie były to wesołe myśli.

Nigdy jej wprawdzie nie powiedział, że jest w niej zakochany, nie byli oficjalnie parą, ale od kilku miesięcy czuła, że interesuje się nią bardziej niż innymi dziewczętami. Kiedy dowiedziała się, że będzie się musiała przenieść do innej szkoły, a z wyjazdu do Francji nic nie wyjdzie, miała nadzieję, że w czasie tych dwóch tygodni, które zostały do wakacji, ona i Marc na tyle się do siebie zbliżą, że wy-prowadzka z Beacon Hill niczego już nie zmieni. Myliła się jednak, a bezosobowy e-mail, w którym nie mogła się doszukać choćby jednego cieplejszego słowa, był tego najlepszym dowodem.

- ...nie sądzisz?

Do Kathryn dopiero teraz dotarło, że babcia coś do niej mówi.

- Przepraszam, nie słyszałam. Po prostu się zamyśliłam.

- Ach, te młode dziewczyny. - Pani Crawford podała wnuczce filiżankę do wytarcia i pokręciła głową. - Mówiłam, że Scott Abbott to bardzo miły chłopak.

- Dość sympatyczny - przyznała Kathryn.

- I jaki przystojny - dodała starsza pani.

- Tak myślisz? - spytała z powątpiewaniem dziewczyna, lecz zaraz przypomniała sobie, jak wczoraj wieczorem

przyszło jej do głowy, że jest może nawet przystojniejszy od Marca. Nagle poczuła, że się czerwieni.

- Nie wierzę, że sama tego nie zauważyłaś - powiedziała pani Crawford, patrząc na wnuczkę filuternie. - A poza tym widziałam, jak on ciebie patrzy. - Gwizdnęła jak mały łobuziak, co w wykonaniu tej starszej dystygowanej pani zabrzmiało wyjątkowo komicznie.

- Oj, babciu, coś ci się chyba zwidziało - rzekła speszona dziewczyna. - To już koniec? - spytała, zerkając na pusty zlewozmywak.

- Tak, kochanie. Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co. A skoro już mowa o pomaganiu, Scott wspomniął coś wczoraj, że pomaga dziadkowi obsiewać wydmy przy waszym domu.

- Tak - potwierdziła pani Crawford. - Bez niego dziadek by sobie z tym nie poradził.

- Może ja też mogłabym się na coś przydać? - zaofiarowała się dziewczyna.

- Myślę, że jak porozmawiasz z dziadkiem, to na pewno znajdzie dla ciebie jakieś zajęcie.

Do kuchni wbiegł Tajfun i merdając ogonem, zaczął biegać wokół Kathryn.

- Tak, wiem - powiedziała, głaskając go po łbie. - Chcesz iść na spacer, prawda?

Zwierzę na dźwięk słowa „spacer” wybiegło z domu, a że dziewczyna kończyła jeszcze układać naczynia w szafce, po chwili przypomniało jej o swoim istnieniu głośnym szczekaniem.

Gdy wyszła przed próg, Tajfun stał, trzymając kawałek patyka. Posłusznie pozwolił go sobie wyjąć z pyska i czekał, aż Kathryn go rzuci i wyznaczy w ten sposób kierunek

spaceru. Nie zastanawiając się długo, zamachnęła się i patyk wylądował kilkadziesiąt metrów na północ od domu państwa Crawfordów.

Pies popędził za nim, a po chwili wrócił, obiegił Kathryn kilka razy dookoła, i dopiero kiedy odebrała mu patyk i ponownie go rzuciła, psisko znów pognało przez wydmy.

I tak posuwali się naprzód. Po jakimś czasie Kathryn, zmęczona przedzieraniem się przed wydmy, zeszła do samego morza i starała się iść po mokrym piasku, dzięki czemu jej nogi nie zapadały się po kostki. Od czasu do czasu tylko silniejsze fale dopadały ją, zanim zdążyła uskoczyć w bok, lecz woda była na tyle ciepła, że wcale się tym nie przejmowała.

Była u szczytu małego półwyspu, gdy zobaczyła wychodzący daleko w morze drewniany pomost, a po pokonaniu trzystu, może czterystu metrów ujrzała niebieski, kryty gontami dom. Tym razem, kiedy podbiegł do niej Tajfun, rzuciła patyk dalej niż zwykle i mimowolnie przyspieszyła kroku.

Po dziesięciu minutach była już przy pomoście i rozglądała się ciekawie. W pobliżu nikogo nie było. Dom wydawał się opuszczony i na pierwszy rzut oka można było stwierdzić jedno: brakowało tu kobiecej ręki, wszystko było jakieś dziwnie surowe. Po bładoniebieskich i fioletowych hortensjach, które bujnie kwitły w ogrodzie państwa Crawfordów i wokół innych okolicznych domów, tu nie było ani śladu.

Dopiero kiedy Tajfun kilka razy zaszczekał, zorientowała się, że zamiast rzucić psu patyk, od dłuższej chwili czegoś wypatruje. Czegoś.., a może kogoś. W końcu spojrzała w stronę morza i jakieś cztery kilometry od brzegu - nigdy

nie potrafiła oceniać odległości, a już zwłaszcza na morzu - zobaczyła żagle. Od razu rozpoznała ten mały jacht. Była to ta sama stara łajba, tyle że z daleka nie widać było rdzy.

Teraz, dumnie unosząc się na falach, wyglądała wspaniale.



Rozdział 4

Kiedy Kathryn dotarła do domu, pan Crawford właśnie wyjmował z terenowej toyoty jakieś skrzynie.

- Poczekaj, dziadku! - zawołała. - Pomogę ci!
 - To miło z twojej strony - odrzekł starszy pan, wręczając wnuczce skrzynię, po czym wyjął z samochodu następną. - Zanieś to do tej szopy na tyłach domu - poprosił.
 - A co to takiego? - zacięła się dziewczyna.
 - To nowa odmiana trawy. W sklepie ogrodniczym w Prowincetown powiedzieli mi, że jeśli ona nie przyjmie się na tym wygwizdowie - wskazał ręką na pobliski niewielki półwysep, na którym od zeszłego roku bezskutecznie starał się zasiać trawę - to nie mam co próbować z żadną inną.
- Postawili skrzynie w rogu szopy i wrócili po następne, a potem jeszcze dwa razy po zwoje bardzo drobnej plastikowej siatki.

Nigdy nie mów nigdy

- Jutro zabieram się do roboty - oznajmił pan Crawford. - Scott obiecał mi pomóc.

- A może i ja mogłabym się na coś przydać? - zaproponowała Kathryn.

- W walce z wiatrem każda para rąk jest cenna - powiedział starszy pan, uśmiechnął się do wnuczki, objął ją ramieniem i razem poszli do domu. - No, zobaczymy, co dzisiaj babcia szykuje na obiad.

Wagi łaźniowe były chyba, podobnie jak telewizor, uznawane tu za niepotrzebny wymysł nowoczesności i Kathryn od wyjazdu z Bostonu nie ważyła się, a niestety obawiała się, że na pysznej kuchni babci szybko przytyje. Zwłaszcza świeżo upieczonych ciast, serwowanych przez panią Crawford na podwieczorek, nie potrafiła sobie odmówić. No, ale nie spędzani przecież wakacji na Lazurowym Wybrzeżu, tu nikt na mnie nie patrzy, tłumaczyła sobie, I wtedy przyszły jej na myśl ciemne inteligentne oczy Scotta. A może jednak ktoś patrzy...

IN azajutrz pan Crawford - tak jak się umówili wieczorem - już o szóstej zapukał do pokoju wnuczki.

- Pobudka! - zawołał.

Kathryn przetarła rozspane oczy i chwilę trwało, zanim przypomniała sobie, dlaczego dziadek budzi ją o tak wczesnej porze, ale dziesięć minut później, umyta i ubrana w T-shirt i luźne ogrodniczki, jadła płatki owsiane z mlekiem. Dziadek i Scott już nosili na wydmy skrzynie z nasionami nowej odmiany trawy, a dziewczyna zaraz po śniadaniu miała do nich dołączyć.

Pośpiesznie włożyła miseczkę po płatkach do zlewu,

naląła do szklanki trochę soku grapefruitowego, wypila duszkiem i wybiegła z domu, wpadając przy tym na Scotta, tak że upuścił wielki zwój plastikowej siatki.

- Cześć. Pan Crawford mówił mi, że nam dzisiaj pomożesz - powiedział.

- Cześć - rzuciła Kathryn. - Przepraszam - dodała speyszona i przykucnęła, żeby zwinąć siatkę, z której zsunął się trzymający ją w ciasnym rulonie sznurek.

Scott, niestety, zrobił to samo i w rezultacie stuknęli się głowami. Trzymając się za czoła, odskoczyli od siebie, ale przez ułamek sekundy Kathryn widziała oczy chłopca z odległości dosłownie pięciu centymetrów i ten widok poruszył ją tak bardzo, że przez dłuższą chwilę nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Scott również się nie odzywał. Cisza chyba obojgu wydała się krepująca, ale żadne z nich jej nie przerywało. W milczeniu zwinęli siatkę i dopiero potem popatrzyli na siebie i wybuchneli śmiechem.

- Coś jeszcze trzeba zanieść? - spytała Kathryn.

- Nie, wszystko jest już na miejscu - odparł Scott i ruszyli w stronę półwyspu, gdzie czekał na nich trochę zniecierpliwiony pan Crawford.

- Już myślałem, że straciliście zapal do pracy.

- Skądże - rzekł Scott. - Mieliśmy tylko mały wypadek.

Popatrzył na Kathryn i znów się roześmiali, tyle że teraz nie mogli powstrzymać śmiechu. Jej zaczęły w końcu cieknać łzy, a on zgiął się wpół i... wypuścił z ręki zwój siatki.

Kathryn natychmiast przykucnęła, żeby ją zwinąć. Scott już chciał pójść w jej ślady, lecz w ostatnim momencie się powstrzymał.

Starszy pan patrzył przez chwilę na wnuczkę i chłopca, zanoszących się śmiechem, wreszcie wzruszył ramionami i powiedział:

- Ach, ci młodzi, z nimi nigdy człowiek nie dojdzie do ładu.

Spoglądał na nich jednak z uśmiechem, w którym było coś z nostalgii, i cierpliwie czekał, aż dziewczyna i chłopiec przestaną się śmiać i zabiorą się za pracę.

A było co robić.

Obsiewanie wydm, ku zaskoczeniu Kathryn, okazało się zajęciem ciężkim i żmudnym. W tym miejscu Cape Cod nawet słaby wiatr jest silny, więc natychmiast po zasianiu nasion na małym kawałku, żeby wiatr ich nie porwał i nie zaniósł gdzieś dalej, trzeba było rozkładać siatkę i przytwierdzać ją specjalnymi uchwytami, wbijanymi głęboko w piasek.

Kathryn nie oszczędzała się; starała się dotrzymywać tempa Scottowi, co nie było proste, bo chłopak miał już w tej pracy doświadczenie.

- No, jak tak dalej pójdzie, to ja tu w ogóle nie będę potrzebny - rzekł w którymś momencie pan Crawford. - Że ty się do tego nadajesz, to wiedziałem - zwrócił się do chłopca - ale że Kathryn... - Zamilkł, widząc obrażoną minę wnuczki. - W końcu moja krew - dodał po chwili, patrząc z dumą na dziewczynę.

Kathryn tymczasem czuła, że długo już nie wytrzyma. Od ciągłego schylania się bolały ją plecy, kolana po rowowym wypadku, wciąż jeszcze nie całkiem zagojone, zaczynały niemiłosiernie piec, a na dłoniach zdążyły się zrobić paskudne bąble. Zaciskała jednak zęby, próbując niczego po sobie nie pokazać.

Niestety, bąble zaczęły pękać i kiedy w pewnej chwili nieostrożnie chwyciła brzeg siatki, nie była już w stanie zapanować nad bólem, i krzywiąc się, syknęła.

Scott przerwał pracę i spojrzał na dziewczynę. Ta zebrała się w sobie i jakby nigdy nic wróciła do swojego zajęcia. Chłopak jednak nie dał się zwieść. Przez chwilę patrzył na nią uważnie, w końcu wstał, podszedł do niej i wziął za rękę.

Próbowała mu ją wyrwać, on jednak nie pozwolił na to.

- Czemu nic nie powiedziałaś? - zapytał.

- Przecież nic się nie stało - odparła, ale jednocześnie skrzywiła się, bo kiedy jeszcze raz próbowała wyswobodzić dłoń, pękł kolejny bąbel.

Scott natychmiast puścił rękę dziewczyny.

- Przepraszam - powiedział. - Naprawdę nie chciałem zrobić ci krzywdy.

- Nic mi nie jest. - Oczywiście Kathryn zaszły mgłą i choć całą siłą woli starała się nie płakać, poczuła, że jedna kropla spływa jej po policzku. Zanim zdążyła odwrócić głowę, Scott wyciągnął rękę i wytarł palcem zdradziecką łzę.

- Co się dzieje? - Zaniepokojony pan Crawford podszedł do nich, oderwawszy się od pracy.

- Chyba powinniśmy na dzisiaj przerwać, a przynajmniej Kathryn - powiedział Scott.

Chciała zaprotestować, lecz chłopak znów wziął jej rękę - tym razem bardzo delikatnie - i pokazał starszemu panu.

- Święci pańscy! - zawołał dziadek Kathryn. - Twoja babcia mnie zabije, jak to zobaczy.

- Dziadku, przecież nic takiego się nie stało - uspokajała go dziewczyna. - To tylko odciski.

- Odciski, dobre sobie! - prychnął pan Crawford. -

Krwawe bąble. Ot, co! - Zerknął na zegarek i pokręcił głową. - Dochodzi południe. Od ponad pięciu godzin zdzierasz sobie ręce do krwi. Wracamy do domu.

- Ależ, dziadku... - zaczęła wnuczka, lecz Scott już zwijal resztki siatki, a starszy pan ruszył do domu pierwszy.

Kiedy Kathryn i chłopak po chwili prawie zrównali się z nim krokiem, usłyszeli, jak mówi pod nosem:

- Zabije mnie, zabije mnie jak nic.

Kathryn wyobraziła sobie, jak babcia, najłagodniejsza kobieta, jaką знаła, zabija dziadka, i roześmiała się. Myśli Scotta najwyraźniej podążały podobnymi torami, bo i on zaczął się śmiać.

JNastępnego dnia Kathryn obudziły wpadające przez okno promienie słońca. Spojrzała na zegarek; było wpół do siódmej. Chwilę wahała się, czy przewrócić się na drugi bok, przesłonić oczy ramieniem, by ochronić je przed jaskrawym światłem, i dalej pogрузić się w śnie, czy wstać.

Wiedziała, że dziadek ze Scottem są już na wydmach; słyszała, jak wczoraj umawiali się na szóstą. Obaj jednak zapowiedzieli jej kategorycznie, że dopóki bąble na rękach się nie zagoją, ma się trzymać od tej pracy z daleka. Pani Crawford, która oczywiście męża nie zabiła, poparła ich, więc dziewczyna mogła dzisiaj spać, ile dusza zapagnie.

Mimo to wstała, umyła się i poszła do kuchni. Zjadła śniadanie, pozmywała po sobie naczynia i zaczęła się kręcić po domu, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Wreszcie uświadomiła sobie, że wczoraj nie sprawdziła poczty e-mailowej, więc wróciła do swojego pokoju i włączyła komputer.

Marc się nie odezwał. Nie liczyła na to specjalnie, mimo to zrobiło jej się smutno, zwłaszcza kiedy przypomniła sobie jego pierwszą i jedyną wiadomość. Wiedziała, że najlepszą metodą na to, by o nim nie myśleć, jest zajęcie się czymś.

Spojrzała na swoje dłonie i pokręciła głową. Po chwili jednak przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Może gdybym gdzieś znalazła takie grube robocze rękawice... Nie namyślając się długo, pobiegła do szopy na tyłach domu i zaczęła ją przeszukiwać. Już traciła nadzieję, gdy zerknęła do skrzyni w kącie i ujrzała dwie pary nowych, jeszcze nie rozpakowanych rękawic. Były co prawda o wiele za duże i przy wkładaniu ich trochę zapiekły ją dłonie, ale poruszysz palcami, stwierdziła, że jakoś sobie poradzi.

Ochoczo ruszyła na wydmy, a kiedy zobaczyła dziadka i Scotta, umocowujących właśnie siatkę, zawołała radośnie:

- Dzień dobry!

Pan Crawford i chłopak popatrzyli na nią ze zdziwieniem.

- Cześć - powiedział Scott.

- Witaj, ranny ptaszku - rzekł starszy pan. - Nie wiedziałam, że lubisz spacerować o tak wczesnej porze.

- Wcale nie idę na spacer - sprostowała. - Uniosła dłonie i z dumą zaprezentowała swoje wielkie rękawice. - Widzę, że beze mnie kiepsko wam idzie. Coś niewiele od wczoraj przybyło - dodała z kpina w głosie.

- No nie! - oburzył się Scott. - Zaczęliśmy dopiero godzinę temu i zobacz, ile już zrobiliśmy. - Podeszedł do miejsca, przy którym wczoraj skończyli pracę. - Odtąd - zakreślił ręką ruch w powietrzu - aż dotąd.

- W takim razie przekonasz się, ile przybędzie w godzinę, jeśli ja się za to zabiorę - powiedziała Kathryn zadziornie.

Pan Crawford chciał zaprotestować.

- Ale jak twoja babcia... - zaczął, lecz dziewczyna przerwała mu:

- Dziadku, nie udawaj, że się jej tak boisz, bo i tak w to nie uwierzę.

- Dobrze ci mówić - rzekł, lecz widząc, że wnuczka już się schyla i zabiera za robotę, machnął tylko bezradnie ręką.

Trochę trwało, zanim Kathryn przyzwyczaiła się do pracy w za dużych rękawicach. Nie miała w nich takiego czucia w palcach jak wczoraj i na początku siatka czy uchwyty do jej mocowania co chwila wymykały jej się z dłoni, ale po godzinie nabrała wprawy.

- Uparta jesteś - powiedział Scott, gdy na chwilę wstała, żeby rozprostować plecy. - No i chyba miałaś rację - dodał, ogarniając wzrokiem kawałek obsianej trawą i pokrytej już siatką wydmy. - Z tobą naprawdę idzie znacznie szybciej.

Pan Crawford, który niedawno przekroczył siedemdziesiątkę, nie miał tyle siły co oni i często robił sobie dłuższe przerwy.

- Wiesz, dziadek nie ma już takiej kondycji - szepnęła, zerkając na niego. - Ale i tak uważam, że jak na swoje lata jest w dobrej formie.

- To prawda - przyznał chłopak.

Przez jakiś czas pracowali w milczeniu.

- Przedwczoraj, kiedy byłam na spacerze z Tajfunem, doszłam aż do waszego domu - odezwała się, gdy zaczęli obsiewać następny kawałek piasku. Ta czynność nie wymagała aż takiego skupienia jak rozkładanie i mocowanie siatki.

- Naprawdę? Czemu nie wpadłaś do nas? - spytał Scott. -

Mój dziadek bardzo by się ucieszył z twoich odwiedzin...
No i ja też - dodał po chwili.

- Nie wiem, miałam wrażenie, że nikogo nie ma w domu.

- A która to mogła być godzina?

- Koło dziesiątej - odparła.

- No tak. - Chłopak pokiwał głową. - O dziewiątej wypłynęliśmy w morze. Dla niego dzień bez łowienia ryb to stracony dzień życia.

- I co? Brały? - zaciekała się.

- Gdzie tam. Ale dziadkowi nie chodzi o to, żeby złowić ryby, tylko o to, żeby je łowić.

Kathryn roześmiała się.

- To wcale nie jest śmieszne - rzekł Scott, robiąc komiczną minę skrzywdzonego pięciolatka. - Nie wiem, czy byłoby ci do śmiechu, gdybyś codziennie musiała jeść te złowione przez niego ryby wielkości sardynki.

- No to dzisiaj będziesz miał jakąś odmianę. Babcia mówiła, że przychodzicie do nas na kolację.

Na twarzy Scotta pojawił się wyraz rozanielenia.

Jvathryn westchnęła ze smutkiem, kiedy dowiedziała się, że tego dnia na podwieczorek są do herbaty tylko jakieś kupowane kruche ciastka, a nie, jak zawsze, świeżo upieczony placek. Tak zdążyła się przyzwyczaić do smakołyków babci, że nie wyobrażała sobie, jak w Bostonie będzie mogła bez nich żyć.

- Trochę cierpliwości, kochanie. Dzisiaj ciasto będzie na deser po kolacji - uspokoiła wnuczkę pani Crawford.

- A tak, całkiem zapomniałam, że mamy gości.

Skłamała, bo tak naprawdę od godziny zastanawiała się, w co się ubrać do kolacji. Nie przywiozła ze sobą wielu ciuchów i na razie wcale tego nie żałowała; to, co miała, zupełnie jej wystarczyło. Dotychczas nosiła T-shirty z szortami albo luźnymi ogrodniczkami; czasami w chłodniejsze wieczory wkładała bluzę.

Dziś miała jednak ochotę ubrać się trochę inaczej. Kiedy przychodziło jej do głowy pytanie „dlaczego”, starała się nad tym nie zastanawiać, choć natrętnie nasuwała się odpowiedź „Scott, Scott, Scott”. Kathryn próbowała ją ignorować, bo mimo że miała do Marca żal, to przecież on był tym chłopakiem, na którym jej zależało.

Szybko wypila herbatę i z bez specjalnego apetytu zjadła jedno małe ciastko, po czym przeprosiła dziadków i ruszyła do swojego pokoju, żeby przejrzeć ubrania i na coś się zdecydować.

- Kathryn! - zawołała pani Crawford, kiedy wnuczka już otwierała drzwi prowadzące z werandy do domu.

Dziewczyna zatrzymała się.

- Tak, babciu?

- Ubierz się dzisiaj jakoś ładnie do kolacji - poprosiła starsza pani.

Kathryn z trudem powstrzymała się przed tym, żeby się nie roześmiać.

- To znaczy jak? - spytała, robiąc minę niewiniątka.

Babcia zastanawiała się przez chwilę.

- No, wiesz, będzie pan Abbott...

Kathryn uśmiechnęła się, bo wiedziała, że nie chodzi jej o przyjaciela dziadka, pana Abbotta.

- Babciu, nie wzięłam ze sobą plisowanej spódniczki

i bluzki z koronkowym kołnierzykiem - powiedziała głosem pensjonarki.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi - poprosiła starsza pani. - Będzie Scott i coś mi się wydaje - popatrzyła na wnuczkę podejrzliwie - że dobrze o tym wiesz. - Po groziła wnucze palcem i uśmiechnęła się.

- Mam ci w czymś pomóc przed kolacją? - zapytała jeszcze Kathryn.

- Nie, dziękuję, wszystko jest już gotowe.

C-zy poznajesz tę młodą damę? - zwrócił się pan Crawford do żony, kiedy Kathryn za piętnaście siódma weszła do jadalni. - Bo ja nie.

Pani Crawford poprawiła okulary na nosie i przez chwilę przyglądała się dziewczynie.

- Trochę mi przypomina moją wnuczkę. Ten sam wzrost, ten sam kolor włosów i oczu... Ale nie, to nie może być ona...

- Zapraszaliśmy jeszcze kogoś oprócz Johna Abbotta i jego wnuka?

- Nie, nie przypominam sobie - odparła starsza pani bardzo poważnym głosem.

Kathryn czuła się trochę dziwnie. Gdy po podwieczorku wróciła do siebie i przejrzała swoje rzeczy, stwierdziła, że poza szortami, dżinsami, T-shirtami oraz kilkoma bluzami ma tylko jedną sukienkę. Kupiła ją dwa miesiące temu z myślą o wakacjach we Francji i jeszcze jej nie nosiła. Przymierzała ją, obawiając się, że będzie za ciasna, bo przecież ostatnio nie odmawiała sobie niczego. Tymczasem rudoczerwona sukienka na ramiączkach, o niesymetrycznie

zakończonym dole, była znacznie luźniejsza niż w dniu, kiedy ją kupowała.

Zdziwiona tym, przejrzała się w lustrze i bez fałszywej skromności doszła do wniosku, że wygląda całkiem nieźle. Kolor pasował do opalonej skóry i kasztanowych włosów, które tego wieczoru zostawiła rozpuszczone.

Teraz, kiedy babcia i dziadek przyglądali jej się niczym przybyszowi z obcej planety, poczuła się naprawdę speszona.

Pani Crawford musiała to zauważyć, bo podeszła do wnuczki i przytuliła ją. Po chwili jednak cofnęła się o kilka kroków i znów zmierzyła ją wzrokiem.

- Wyglądasz prześlicznie - powiedziała.

- Tak pięknie jak twoja babcia tego dnia, kiedy ją poznałem - dorzucił dziadek.

Kolacja udała się znakomicie. Pan Abbott, przyjaciel dziadka Kathryn jeszcze z czasów, gdy obaj byli sędziami w bostońskim sądzie, okazał się miłym staruszkiem o dużym poczuciu humoru, a jedzenie było świetne. Scott, po rybnej diecie, do której zmuszał go dziadek, nie odmówił nawet wtedy, gdy pani Crawford zaproponowała mu trzecią porcję soczystej wołowej pieczeni. Kathryn patrzyła na niego z uśmiechem. Owszem, jej również smakowało główne danie, ale czekała przede wszystkim na deser. A było na co czekać, bo czekoladowy biszkopt z bitą śmietaną i wiśniami był po prostu boski.

Po deserze Tajfun, który podczas kolacji -jak przystało na dobrze wychowanego psa - trzymał się w stosownej odległości od stołu, podbiegł do Kathryn i zaczął merdać ogonem.

Dziewczyna spojrzała na zegarek i pogłaskała go za uszami.

- Wiem - powiedziała. - To twoja pora spaceru. Zaraz pójdziemy. Przepraszam - zwróciła się do babci. - Chyba powinnam z nim wyjść.

- Chętnie przeszedłbym się z wami - rzekł Scott, wstając z krzesła.

- No, ja myślę. - Pan Abbott, kręcąc głową, patrzył na wnuka. - Po takich trzech porcjach dobrze ci to zrobi.

Uradowany Tajfun wybiegł z domu i popędził ścieżką prowadzącą na północ wzdłuż wydm.

- Pozwolimy jemu wybrać kierunek czy zrobimy to sami? - spytał Scott.

- Niech on decyduje - postanowiła Kathryn i ruszyli za psem.

Księżyc osiągnął pełnię i noc była tak jasna, że latarka, którą chłopak zabrał ze swojego pick-upu, okazała się zupełnie niepotrzebna.

- Bardzo ładnie dzisiaj wyglądasz - odezwał się Scott, kiedy uszli kilkadziesiąt metrów.

- Dziękuję - powiedziała Kathryn, wdzięczna, że po czekał z tym komplementem i nie usłyszała go w domu. Teraz nie musiała się przynajmniej zastanawiać nad tym, czy się czerwieni. Przystanęła, żeby wysypać z butów piasek, potem uszła jeszcze kilka kroków i znów się za trzymała, uznała bowiem, że boso będzie jej znacznie wygodniej.

- Nic nie chciałem mówić, ale zastanawiałem się, jak daleko uda ci się dojść w tych butach na obcasach.

- Trzeba było mi powiedzieć. - Kathryn z zazdrością zerknęła na jego sportowe obuwie.

- Za bardzo mi się podobałaś w tym, co masz na sobie.

To już nie był grzecznościowy komplement, taki na jakie nauczyła się już reagować, grzecznie odpowiadając dziękuję. Ten wprawdzie sprawił jej przyjemność, lecz również zakłopotał.

- Myślisz, że ta trawa się przyjmie? - spytała, chcąc zmienić temat, a akurat przechodzili obok tego kawałka wydmy, który rano obsiewali.

- Jeśli to, co powiedzieli twojemu dziadkowi w sklepie ogrodniczym, jest prawda, to powinna... A właśnie. Koło naszego domu jest taki kawałek, na którym już od kilku lat nie chce się przyjąć żaden gatunek trawy. Mój dziadek dowiedział się o tym nowym i chce, żebym w przyszłym tygodniu pojechał do Prowincetown i kupił trochę nasion. Może wybrałabyś się ze mną? Skoczylibyśmy gdzieś na lody.

- Chętnie. Od wyjazdu z Bostonu nie jadłam lodów. Prawie trzy tygodnie bez lodów! To mój życiowy rekord. Nie wiem, dlaczego moi dziadkowie nie uznają tego deseru.

- Już ty nie narzekaj. Chętnie zamieniłbym kuchnię mojego dziadka na to, co tobie serwuje babcia.

- Chyba nie poszłabym na taki interes - powiedziała dziewczyna i roześmiała się.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, a potem Kathryn zapytała Scotta o jego jacht.

Kiedy zaczął opowiadać o swojej łajbie, mimo nocy widać było, jak błyszczą mu oczy. Jego głos nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości - ten mały jacht był życiową pasją Scotta.

Kathryn pomyślała nagle, że chciałaby, żeby kiedyś jakiś chłopak mówił o niej z taką czułością, rozrzewnieniem

Jackie Stevens

i zachwytem. Jakiś chłopak czy Marc? - przemknęło jej przez głowę pytanie, ale natychmiast je odgoniła.

- Wiesz, w przyszłym tygodniu powinniśmy skończyć obsiewanie tych wysp koło waszego domu - rzekł Scott. - Kiedy będziemy już z tym gotowi, moglibyśmy popłynąć gdzieś z samego rana. O tej porze na morzu jest najpiękniej - dodał z rozmarzeniem w oczach.

- Nie wiem, czy jestem właściwym towarzystwem dla takiego zapalonego żeglarza jak ty - odparła z wahaniem. - Zupełnie się nie znam na jachtach i żeglowaniu... - Prze rwała, obawiając się, że Scott cofnie propozycję, a tak naprawdę miała ogromną ochotę wypłynąć z nim w morze. - Ale z przyjemnością się z tobą wybiorę, jeżeli zniesiesz na tej swojej ukochanej łajbie taką dyletantkę w żeglowaniu jak ja.

Chłopakowi chyba nie spodobało się to lekceważące określenie jego łodzi.

- Popłynij ze mną, a przekonasz się, że to nie jest łajba, tylko wspaniała jacht.

- Przepraszam - rzuciła, po czym trochę się zafrasowała. - Mam tylko nadzieję, że babcia i dziadek nie będą mieli nic przeciwko temu... A właśnie, chyba powinniśmy już wracać.

Rzeczywiście, zrobiło się dość późno i kiedy doszli do domu, państwo Crawfordowie i pan Abbott czekali na nich na werandzie.



Rozdział 5

Leżące na końcu półwyspu Provincetown było niegdyś rybacką wioską. Mimo że w lecie roi się tu od turystów, jest urzekającym miasteczkiem o krętych uliczkach, wzdłuż których wśród pięknych ogrodów stoją domy obudowane charakterystycznymi dla tego miejsca srebrzystymi deskami.

Kathryn, zawsze kiedy przyjeżdżała tu z rodzicami albo dziadkami, czuła się tak, jakby wstępowała do innego świata. Dziś było tak samo.

Najpierw ona i Scott poszli do sklepu ogrodniczego, kupili nasiona oraz kilka innych rzeczy i zostawiwszy to wszystko w samochodzie, do centrum wybrali się pieszo. Nigdzie im się nie spieszyło, więc szli wolnym krokiem, zatrzymując się przy wiekowych domach i pachnących dzikimi różami ogrodach, otoczonych białymi płotami. Idąc Commercial Street, główną ulicą w mieście, minęli wybu-

dowany w 1746 roku Seth Nickerson House, najstarszy tutejszy dom. Przez chwilę zastanawiali się nawet, czy nie wejść do środka, ale widząc oblegającą go dużą grupę turystów, zrezygnowali z tego pomysłu. Kathryn przed laty była z rodzicami w tym zbudowanym przez cieślę okrętowego domu z małutkimi, podobnymi do kajut pomieszczeniami, krzywymi drzwiami i popękkanymi deskami na podłodze, a Scott zwiedzał go kilkakrotnie w towarzystwie dziadka.

- To jak, nadal zamierzasz wytrwać w niejedzeniu lodów? - zapytał, widząc, że Kathryn łakomym wzrokiem zagląda do mijanych barów i kawiarni.

- Mowy nie ma - oświadczyła. - Zastanawiam się tylko, gdzie tu mają najlepsze. - Zatrzymała się przed otwartymi drzwiami jakiegoś lokalu i zajrzała do środka, kiedy jednak poczuła zapach frytek i hamburgerów, ruszyła dalej.

- Popatrz tam - powiedział Scott, pokazując ustawione na zewnątrz stoliki pod parasolami. - Wygląda sympatycznie.

Kathryn albo się z nim zgodziła, albo uznała, że trzy tygodnie bez lodów to absolutna granica jej możliwości i nie wytrzyma ani minuty dłużej, w każdym razie usiadła przy pierwszym wolnym stoliku.

Gdy zamówiła pięć kulek o różnych smakach, Scott roześmiał się, a kelnerka, wskazując na pucharek, który przed chwilą zaniósł do sąsiedniego stolika, uprzedziła:

- Ale to nie są takie małe kulki.

- Wiem - odparła trochę zawstydzona dziewczyna.

Przez chwilę się wahała, lecz przypomniała sobie, że wczoraj, kiedy wieczorem wkładała swoje najbardziej obcisłe dzinsy - takie, które w Bostonie z trudem dopinała -

były w pasie i biodrach zupełnie luźne. I to przesądziło sprawę. - Mimo to...

- Jasne - rzuciła kelnerka. - A dla ciebie? - zwróciła się do Scotta.

Kathryn popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Miała nadzieję, że nie zamówi jednej kulki, wtedy bowiem jej łakomstwo byłoby jeszcze bardziej haniebne.

Chłopak zastanawiał się, wreszcie rzekł;

- To ja poproszę to samo.

Kathryn polubiła go już tego wieczoru, kiedy go poznała, ale teraz po raz pierwszy przyznała się do tego przed sobą. Gdzieś w głowie zaświtała jej wprawdzie myśl o Marcu, ale w ułamku sekundy się ulotniła. Było piękne popołudnie, siedziała pod kolorowym parasolem w towarzystwie naprawdę miłego chłopca i do tego bardzo przystojnego - uświadomiła to sobie po raz kolejny, widząc rzucane w jego kierunku spojrzenia dwóch przechodzących właśnie dziewcząt. No i za chwilę miała dostać pięć wielkich kulek lodów!

Na cały następny tydzień pan Crawford i dwójka jego młodych pomocników musieli przerwać pracę nad zagospodarowaniem wydm, bo pogoda była taka, że nawet Tajfun, zawsze chętny do długich spacerów, sam po pięciu minutach zawracał i z podkulonym ogonem pędził do domu. Przez pierwsze dwa dni wiejący z północy wiatr był tak porywisty, że Kathryn, wychodząc na zewnątrz, z trudem utrzymywała równowagę. Potem trochę się uspokoił, ale lało wciąż jak z cebra.

Mimo tej fatalnej pogody Kathryn się nie nudziła. Pan Abbott i jego wnuk codziennie przyjeżdżali do państwa

Crawfordów na obiady i zostawali aż do późnego wieczoru. Starsi panowie, gawędząc o dawnych czasach, grali w szachy, pani Crawford czytała, a Kathryn z chłopcem grali w scrabble i rozmawiali o szkole, przyjaciółach i mnóstwie innych rzeczy.

Kropki deszczu rytmicznie bębniły o szyby w oknach, na zewnątrz było nieprzyjemnie chłodno, lecz w niewielkim salonie, pewnie dzięki temu, że w kominku płonął ogień, co jakiś czas wypuszczając w górę wysokie języki, było niezwykle przytulnie.

W którymś momencie dziewczyna uświadomiła sobie, że Scott wie już prawie wszystko o Rebecce, podczas gdy nie padło nawet imię Marca. A przecież wciąż o nim myślała, wprawdzie już nie tak intensywnie, jak kilka tygodni temu, ale jednak myślała. Czuła się mimo to ze Scottem tak dobrze, że zaczynała ją to niepokoić.

On zaś najbardziej lubił mówić o swoim jachcie i wtedy błyszczały mu oczy, a w głosie było tyle entuzjazmu, że Kathryn nagle zaczęła żałować, iż nie znalazła sobie w życiu czegoś, czemu oddawałaby się z taką pasją.

- A jak właściwie ta twoja łajba się nazywa? - zapytała.
- No właśnie, z tym mam problem. Jej poprzedni właściciel był fanem „Gwiezdnego wojen” i...
- I nazwał ją „Hań Solo” - wpadła Scottowi w słowo. Popatrzył na nią ze zdziwieniem.
- Zgadłam?
- Byłaś bardzo blisko. „Lukę Skywalker”
- No nie! Rzeczywiście głupia nazwa - uznała Kathryn.
- Też tak uważam. I pierwsze, co zrobiłem po tym, jak w zeszłym roku kupiłem ten jacht, to zamalowałem napis. Ale nie mam jeszcze nowej nazwy. Wciąż nie mogę się

zdecydować. Gdyby przyszedł ci do głowy jakiś pomysł, to mi powiedz - poprosił. - Dziewczyny są chyba lepsze w wymyślaniu nazw.

- Dziewczyny są lepsze we wszystkim - zażartowała, po czym zaczęli się przekomarzać.

Kiedy wreszcie zabrakło jej argumentów, wzięła kartkę, na której były zapisane wyniki ostatnich trzech partii scrabble, i pomachała nią chłopcu przed nosem.

- Nawet w tym jesteśmy lepsze - oświadczyła.
- Bo rozpraszacie nas przy grze - odciął się bez chwili zastanowienia.
- Niby jak? - spytała oburzona.
- No, no...
- No jak? - ponagliła go z triumfalnym uśmiechem na twarzy.

- Nie męcz tak tego młodego człowieka - odezwał się pan Crawford, odrywając się na chwilę od partii szachów, by wybawić chłopca z opresji.

- Jakoś sobie z nią poradzę - rzekł Scott, choć jego mina wcale na to nie wskazywała.

Na szczęście pani Crawford właśnie teraz zawołała wnuczkę do jadalni, gdzie nakrywała stół do kolacji i Kathryn miała jej w tym pomóc.

Dziewczyna wyszła już z salonu, gdy usłyszała westchnienie ulgi Scotta, a potem słowa dziadka:

- My, mężczyźni, musimy ze sobą trzymać, bo inaczej zjedzą nas żywcem.

Nie powiedział wprawdzie, kto ma ich zjeść żywcem, ale ona wiedziała, o kogo mu chodzi.

Wreszcie po tygodniu pogoda poprawiła się na tyle, że Kathryn, jej dziadek i Scott, licząc się z najgorszym, poszli na wydmy, by się przekonać, jak natura obesza się z ich dziełem.

- Patrzcie! - zawołała Kathryn. Na kawałku, na którym zasiewali trawę pierwszego dnia, wybijały się z piasku, jedna przy drugiej, kępki szarozielonej trawy. - Jeśli prze trwały te zawieruchy, to chyba nic im już nie zaszkodzi.

Jej dziadek pochylił się i z nabożną czcią dotknął małego, zaledwie pięciocentymetrowego źdźbła trawy.

Scott tymczasem popatrzył na dziewczynę, po czym nagle ujął ją w pasie i podniósł. Kathryn, niewypowiedzianie szczęśliwa, uznała to za najbardziej naturalny na świecie gest i wyciągnawszy w górę ramiona, zawołała:

- Hura, udało się!

Dopiero kiedy chłopak postawił ją na ziemi, poczuła się nieswojo i cofnęła się o krok.

- Zobaczcie tutaj! - Pan Crawford zdążył już się podnieść i przejść do tej części wydmy, którą obsiewali drugiego dnia. - Tu też zaczyna kiełkować.

Rzeczywiście, na tym drugim kawałku trawa była trochę niższa, ale równie gęsta.

Kathryn patrzyła na rezultat ich pracy, ale wciąż jeszcze czuła obejmujące ją w talii ramiona Scotta. Gdy ich spojrzenia na chwilę się skrzyżowały, natychmiast odwrócił wzrok i zapatrzył się gdzieś w dal.

- No co, nie cieszyacie się? - spytał pan Crawford, który od dłuższej chwili bacznie obserwował wnuczkę i jej nowego przyjaciela.

- No pewnie, że się cieszymy - odparła Kathryn.

Natomiast Scott, zawsze wobec starszego pana przykład-

nie uprzejmy, nie odezwał się ani słowem; wciąż patrzył w morze.

- Pierwszy raz w życiu nie czuję się oszukany przez sprzedawcę. Muszę zadzwonić do tego sklepu ogrodniczego w Provincetown i podziękować - rzekł dziadek Kathryn, z uwagą popatrując na wnuka przyjaciela. - Chyba czas wrócić na herbatę - dodał, zerkając na zegarek. Państwo Crawfordowie w tej jednej kwestii byli bostończykami z krwi i kości, którzy jak w starej Anglii kultywowali picie herbaty punktualnie o piątej.

Przy podwieczorku dziewczyna i chłopak nie odezwali się do siebie ani razu. Coś się między nimi zmieniło, lecz Kathryn nie potrafiłaby powiedzieć co. Wiedziała tylko, że znikła niewymuszona swoboda, która dotychczas cechowała ich stosunki, i wkradło się w nie jakieś napięcie. I tak już zostało, o czym mogła się przekonać już nazajutrz, kiedy znów zabrali się za obsiewanie wydmy. Niestety atmosfera między nią a Scottem odbijała się na rezultatach ich pracy. - Bogu dzięki, że już niewiele nam zostało - rzekł pan Crawford, gdy w poniedziałek schodzili z wydmy. Tego dnia robota wyjątkowo się nie kleiła, postanowił więc skończyć ją godzinę wcześniej niż zwykle. - Gdybyśmy przez cały czas pracowali w takim tempie jak dziś, to nie zdążylibyśmy do końca wakacji - dodał, patrząc z lekkim wyrzutem na wnuczkę i Scotta.

Dziewczyna, zdając sobie sprawę, że dziadek ma rację, spuściła głowę. Chłopak w milczeniu odwrócił wzrok.

Następnego dnia było tak samo. O ile w zeszłym tygodniu Kathryn i Scott potrafili się przy pracy porozumieć nawet bez słów i każde doskonale wiedziało, kiedy temu drugiemu trzeba na przykład przytrzymać siatkę, podać uchwyt do jej

mocowania czy po prostu usunąć się na bok, by dać mu swobodę ruchów, o tyle teraz zupełnie to nie działało. Nie chcąc wchodzić sobie w drogę przy rozsiewaniu nasion, zostawiali całe pasy nieobsianego piasku, a przy pokrywaniu go siatką współpraca układała się jeszcze gorzej.

- No nie, moi drodzy - zirytował się w końcu pan Crawford. - Albo się w końcu jakoś dogadacie, albo nic z tego nie wyjdzie.

Oboje zaczęli się starać, lecz nawet jeśli znów po jakimś czasie pracowali w miarę sprawnie, to robili to bez cienia entuzjazmu.

Pan Crawford musiał coś o tym wspomnieć żonie, bo kiedy ta zmywała z wnuczką naczyńia po kolacji, spytała nagle:

- Pokłóciliście się o coś ze Scottem?
- Nie - odparła dziewczyna. - Dlaczego mielibyśmy się pokłócić?
- Kiedy wróciliście z Provincetown, byliście w takiej dobrej komitywie, a od dwóch dni wydaje mi się, że w ogóle się do siebie nie odzywacie - wyjaśniła starsza pani.

Kathryn nie mogła temu zaprzeczyć, ale sama nie bardzo rozumiała, skąd się nagle wzięła ta zmiana w ich stosunkach, więc tym bardziej nie wiedziała, jak wytłumaczyć to babci.

- Naprawdę nie pokłóciliśmy się - zapewniła ją.
- To dobrze, bo Scott jest wyjątkowo miłym chłopcem.

Dziewczyna wytarła ostatni talerz, odłożyła ścierkę i nie chcąc przedłużać tej rozmowy, spytała:

- Będę ci jeszcze do czegoś potrzebna? Bo jeśli nie, to poszłabym do siebie. Jakoś dzisiaj szybko zrobiłam się senna.
- Idź już, połóż się, kochanie - powiedziała starsza pani, lecz wnuczka nie była pewna, czy babcia jej wierzy. - Spij dobrze.

- Dobranoc.

W swoim pokoju Kathryn nie położyła się spać. Długo myślała o tym miłym chłopcu, który, szczerze mówiąc, przez ostatnie dwa dni nie był już taki miły, przynajmniej nie w stosunku do niej. Tak długo zastanawiała się nad przyczynami zmiany jego zachowania, że w końcu zaniepokoił ją sam fakt, że poświęca mu tyle uwagi. Aż tyle, że od kilku dni nawet nie sprawdziła, czy przyszedł e-mail od Marca.

Postanowiła to natychmiast nadrobić. Włączyła komputer do sieci i czekała z nadzieją, że za chwilę zobaczy napis „Masz wiadomość”, ale ekran był pusty. Minęło już pięć tygodni, od kiedy Marc poleciał do Francji, i w tym czasie odezwał się tylko raz, przysyłając zdawkową wiadomość. Pewnie już wkrótce wróci do Bostonu, pocieszała się Kathryn, i wtedy da znak życia. I nie będę już sobie zawracać głowy dziwnym zachowaniem Scotta.

Jednak już po chwili znów o nim myślała. A kiedy dwie godziny później zasypiała, przed oczami miała nie jasnowłosego Marca o niebieskich oczach, lecz chłopca o ciemnobrązowych oczach i prawie czarnych włosach.

Następnego dnia pracowali na wydmach po raz ostatni, Kawalek, który im jeszcze pozostał, był tak niewielki, że uporali się z nim już przed południem.

Pan Crawford wracał do domu szczęśliwy, z dumą patrząc na te miejsca, gdzie trawa osiągnęła już wysokość dziesięciu centymetrów, te, w których był znacznie niższa albo dopiero kiełkowała, a nawet na te fragmenty wydmy, które powinny się zazielenić dopiero za kilka dni.

do Bostonu i spotkania z Rebecą i Markiem, oczywiście nie z obojgiem jednocześnie, bo pamiętając niechęć przyjaciółki do Marca, wołała tego unikać. Mimo to gnębiło ją to, że Scott od dnia, kiedy po raz ostatni pracowali na wydmach, nie pojawiał się u jej dziadków i w ogóle nie dawał znaku życia.

Dzień przed wyjazdem do Bostonu Kathryn, nie mogąc dłużej powstrzymać ciekawości, spytała babcię:

- Nie wiesz, co słyhać u Scotta?

- Nie - odparła zdziwiona pani Crawford. - Więc jednak 0 coś się pokłóciliście.

- Nie - odparła z mocą dziewczyna. Nie miała przy tym poczucia, że kłamie, bo przecież ona i Scott wcale się nie pokłócili. - Dlaczego tak uważasz?

- No więc skoro się nie pokłóciliście, to dlaczego do niego nie zadzwonisz?

Kathryn nie potrafiła na to odpowiedzieć, więc wzruszyła tylko ramionami.

- A swoją drogą to dziwne, że Scott tak długo się u nas nie pojawia - rzekł pan Crawford.

Jego wnuczka wołała nie rozmawiać na ten temat, więc szybko dokończyła śniadanie, przeprosiła dziadków i wyszła z Tajfunem na spacer. Doszła do plaży i ruszyła wzdłuż morza na północ, w stronę domu pana Abbotta, po kilkunastu metrach zatrzymała się jednak i skierowała na południe w stronę latarni morskiej.

Tego dnia nie miała jakoś ochoty na długie wędrówki. Wkrótce zawróciła, a że obawiając się pytań babci, na które nie potrafiłaby odpowiedzieć, nie chciała jeszcze iść do domu, położyła się na suchym piasku poza zasięgiem fal i wystawiła twarz do słońca.

Tajfun, niezbyt z tego zadowolony, biegał wokół niej i poszczekiwał, domagając się dalszego spaceru. Wreszcie zrezygnował: położył się koło dziewczyny i wyraźnie się udobruchał, kiedy zaczęła go drapać za uchem.

Tak był tym zachwycony, że jego psi nos nie wyczuł nawet, że ktoś się zbliża. Kathryn również nie słyszała kroków, dopiero gdy poczuła, że pada na nią cień, usiadła gwałtownie, odwróciła głowę i zobaczyła Scotta. „O wilku mowa”, chciała powiedzieć, co po części tylko przystawało do sytuacji, bo nie mówiła o „wilku”, tylko o nim myślała, i to już od dłuższego czasu.

Choć chłopak od jakiegoś czasu zachowywał się dziwnie, wciąż go lubiła. Owszem, miała mu za złe, że zaprosił ją na wycieczkę łodzią, a potem się z tego wycofał - słów nie powinno się rzucać tak na wiatr - ale nawet to nie zniszczyło jej sympatii do niego. Było jej przykro, że jutro wyjedzie z Cape Cod i nawet nie pożegna się z chłopakiem, z którym przez kilka tygodni tak miło spędzała czas.

- Cześć - powiedział.

- Cześć. - Kathryn musiała przesłonić oczy dłonią, bo kiedy na niego spojrzała, słońce ją oślepiło.

Scott przykucnął i dopiero wtedy zobaczyła jego twarz.

- Dowiedziałem się od twojej babci, że wyszłaś z Tajfunem na spacer. Powiedziała mi też, że już jutro wyjeżdżasz. Myślałem, że zostaniesz do samego końca wakacji.

- Nie. Mówiłam ci, że przeprowadzamy się z mamą do nowego domu. Muszę być w Bostonie tydzień przed rozpoczęciem roku szkolnego, żeby zdążyć się rozpakować i wszystko pozalatawać.

- Nie przyszło mi to do głowy - przyznał się. Milczał przez chwilę, a potem odezwał się niepewnym głosem: -

A tak w ogóle, to chciałem cię przeprosić. Ostatnio zachowywałem się wobec ciebie jak idiota. Sam nie wiem, co mi się porobiło.

- No, może nie całkiem jak idiota - pocieszyła go - ale dość dziwnie. - Uśmiechnęła się do niego ciepło i nagle postanowiła być przy nim szczerą. Właśnie za to lubiła Scotta, że wobec niego potrafiła być szczerą. Kiedy przed tygodniem zadzwonił do niej Marc, nie zdobyła się na to, by mu powiedzieć, że ma do niego żal, chociaż miała ochotę to zrobić. - Ale tak naprawdę to powinieneś mnie przeprosić za coś zupełnie innego.

Zdziwiony, spojrzał na nią poważnie.

- Za co?

- Jak się kogoś zaprasza na wycieczkę łodzią, to nie powinno się o tym zapominać.

- Nie zapomniałem, naprawdę. Dziadek zapędził mnie do obsiewania kawałka wydrn koło naszego domu i dopiero dziś skończyliśmy. Od razu przyjechałem, żeby się z tobą umówić. Naprawdę nie wiedziałem, że jutro wyjeżdżasz - zarzekał się.

Zupełnie niepotrzebnie, bo Kathryn i tak mu wierzyła.

Chłopak spojrzał w niebo, potem w morze i nad czymś się zastanowił.

- Wiesz - powiedział. - Żeglowanie po południu to nie to samo co o świcie, ale fez jest wspaniałe. Może wy płynęlibyśmy dzisiaj.

Kathryn była już spakowana i nie bardzo wiedziała, co zrobić z resztą dnia, więc chętnie się zgodziła. Uznała, że taka wycieczka będzie pięknym zakończeniem wakacji, może nie tak atrakcyjnych jak te, które spędziłaby z ojcem w Europie, ale przecież na swój sposób bardzo miłych.

łaństwo Crawfordowie ucieszyli się, widząc wnuczkę wracającą ze spaceru ze Scottem. Dziewczyna i chłopak byli znów w dobrej komitywie; śmiali się i rozmawiali jak przyjaciele.

- Scott zaprosił mnie na wycieczkę swoją łodzią - zwróciła się do dziadków Kathryn. - Mam nadzieję, że nie planowaliście niczego na dzisiejsze popołudnie.

- Nie, kochanie. - Pani Crawford popatrzyła na chłopca. - Ale będziesz pilnował, żeby nic jej się nie stało?

- Oczywiście - odparł poważnie Scott. - Słowo żeglarza.

- I nie wypłyniecie za daleko? - wtrącił się pan Crawford.

- Nie dalej niż cztery mile od brzegu - obiecał chłopiec.

- I będziesz na siebie uważać? - Tym razem pani Crawford zwróciła się do wnuczki.

Ta wiedziała, że nie obędzie się bez takich przestróg, więc odpowiedziała cierpliwie:

- Przyrzekam, że nic mi się nie stanie.

Jej dziadek tymczasem popatrzył na niebo.

- Warto by było sprawdzić prognozę pogody na najbliższe godziny - zasugerował. - Teraz nie widać wprawdzie ani jednej chmurki, ale na Cape Cod nigdy nic nie wiadomo.

- Zawsze zanim wypływam w morze, sprawdzam prognozę - rzekł Scott.

- I bardzo słusznie - pochwalił go starszy pan.

- Mógłbym skorzystać u państwa z telefonu? - zapytał chłopiec.

- No to chodźcie do domu - powiedziała pani Crawford. Nie popłyniecie przecież bez obiadu.

Kathryn chciała zaprotestować. Nigdy nie miała objawów choroby morskiej, ale też dotychczas nie pływała zbyt często, a jeżeli już, to na promach albo wielkich statkach.

Nie wiedziała, jak jej pełny żołądek zareaguje na niewielką łódź. Spojrzała jednak na Scotta i zamilkła. Chłopak najwyraźniej miał ochotę na coś innego niż „ryby wielkości sardynki”. Postanowiła na wszelki wypadek zjeść po prostu mniej.

Kiedy pomagała babci nakrywać do stołu, Scott zadzwonił na numer, pod którym podawano prognozę pogody dla ludzi wyruszających w morze.

Kathryn widziała, jak chłopak się zasępia.

- No nie! - rzucił, przez chwilę jeszcze słuchał bez słowa, po czym rozłączył się i wybiegł przed dom.

Dziewczyna podeszła do wychodzącego na morze okna i wyjrzała na zewnątrz. Jeszcze przed chwilą niebo było czyste jak łąka, a teraz od północy nadciągały ciężkie ołowiane chmury. Zrozumiała, że z wyprawy łodzią nic nie wyjdzie, i zrobiło jej się naprawdę smutno.

- Tak mi przykro - powiedział Scott, wróciwszy do domu z przygnębioną miną. - Szkoda, że już jutro wyjeżdżasz.

Kathryn nagle uświadomiła sobie, że choć cieszyła ją myśl o spotkaniu z Markiem i Rebecą, to spędziła na Cape Cod wspaniałe wakacje i że ich główną atrakcją był właśnie Scott. Dzięki niemu właściwie już nie żałowała, że nie poleciała do Francji.

I uświadomiła sobie jeszcze coś. To, że nie chce, by znajomość z tym chłopcem skończyła się wraz z wakacjami. Był z Bostonu, więc mogli dalej się spotykać i pozostać przyjaciółmi. Nie wiedziała co prawda, w jakiej Scott mieszka dzielnicy, ale Rebecą przekonywała ją kiedyś, że można przecież mieszkać na przeciwległych krańcach miasta i dalej utrzymywać ze sobą kontakty, że taka odległość nie

powinna zniszczyć przyjaźni. A dla Kathryn Scott był przyjacielem, co więcej - czuła, że on też traktuje ją jak przyjaciółkę.

- A cóż to za grobowe miny! - rzekła pani Crawford, która przez dłuższą chwilę obserwowała wnuczkę i Scotta. - Burza to jeszcze nie koniec świata.

- Tak - przyznał chłopiec. - Tylko że Kathryn jutro wyjeżdża, a ja jej obiecałem, że wypłyniemy w morze na mojej łodzi.

- Rozumiem cię, młody człowieku - wtrącił się pan Crawford. - Obietnica to obietnica i nie wolno jej łamać. - Zastanawiał się nad czymś długo, po czym spojrzał na żonę i spytał: - Zostajemy na Cape Cod, tak jak planowaliśmy, do końca września, prawda?

- Oczywiście - odparła pani Crawford.

- Twój dziadek, jak co roku, siedzi tu do pierwszych przymrozków? - zwrócił się do wnuka przyjaciela.

- Oczywiście - odparł zdziwiony tym pytaniem Scott.

- No to mam pomysł - oświadczył dumny z siebie starszy pan. - We wrześniu pogoda jest tu zwykle piękna. Twój dziadek - zerknął na chłopca - na pewno by się ucieszył, gdybyś spędził z nim weekend.

- No, myślę, że tak - odpowiedział Scott.

- A my - pan Crawford zwrócił się do żony - ucieszy libyśmy się, gdyby odwiedziła nas wnuczka.

Starsza pani nie musiała się odzywać; jej uśmiech i spojrzenie mówiły wszystko.

- No właśnie - rzekł jej mąż. - Ty - zerknął na Scotta - odwiedziś dziadka, a Kathryn - uśmiechnął się do wnuczki - przyjedzie do nas i wtedy wypłyniecie sobie w morze. No jak? Niezłe to wymyśliłem?

- Genialnie - przyznał uradowany Scott. Uśmiech jednak nagle zniknął z jego twarzy i chłopak popatrzył niepewnie na Kathryn. - A co ty o tym sądzisz?

Dziewczyna nie wahała się ani chwili.

- Jestem za.

Burzowe chmury były już na tyle blisko, że w domu zrobiło się zupełnie ciemno. Kiedy Kathryn pomagała babci nakrywać stół do obiadu, zerwał się porywisty wiatr, a po pięciu minutach lało jak z cebra.

Gdy skończyli jeść, wciąż jeszcze padało. Kathryn ustalała właśnie ze Scottem, kiedy będzie najlepiej przyplłynąć na Cape Cod - drugi weekend września był dla obojga najlepszym terminem - kiedy zadzwonił telefon.

Odebrała pani Crawford, która siedziała najbliżej.

- To do ciebie - zwróciła się do wnuczki.

- Mama? - zdziwiła się Kathryn. - Rozmawiałam z nią rano.

- Nie - sprostowała babcia, zakrywając dłonią słuchawkę. - To jakiś młodzieniec. Chyba ten sam co tydzień temu.

Nie myliła się; to był Marc. Dowiedział się od pani Porter, że jej córka wraca do Bostonu jutro w południe, i chciał się umówić z Kathryn na wieczór. Tak naprawdę miałyby ochotę najpierw zobaczyć się z Rebecą, ale w końcu stanęło na tym, że spotka się z Markiem koło siódmej. Telefonicznie mieli jeszcze ustalić miejsce.

Kiedy odkładała słuchawkę, Scott wstawał od stołu i dziękował jej babci za obiad.

- Chyba nie pojedziesz w taki deszcz - powstrzymał go pan Crawford. - Poczekaj, aż się trochę uspokoi.

- Nie, naprawdę muszę już jechać - rzekł chłopak. - Jeszcze raz dziękuję - zwrócił się do pani Crawford, po

czym skierował wzrok w stronę Kathryn - nie na nią, tylko w jej stronę, bo patrzył gdzieś obok. - To cześć. Zdzwonił się jakoś.

Zanim dziewczyna zdążyła powiedzieć, że przecież nawet nie mają swoich numerów telefonów, powiedział „do widzenia” i już go nie było.

Pani Crawford złożyła tylko ręce na piersi i pokręciła głową, a mąż poradził jej:

- Nawet nie próbuj zrozumieć tych młodych, bo i tak ci się to nie uda.



Rozdział 6

Pani Porter czekała na Kathryn w umówionym miejscu w porcie Long Wharf.

- Dobrze, że już jesteś - powiedziała matka, uściskawszy córkę. - Okropnie się za tobą stęskniłam.

- Ja też.

- Ależ się opaliłaś! - Pani Porter cofnęła się dwa kroki i zmierzyła córkę od stóp do głów. - I jak zeszcupiałaś! Jak ci się to udało? Czyżby babcia przestała piec ciasta na podwieczorki?

- No wiesz! Jak możesz ją posądzać o coś takiego? - zażartowała dziewczyna i wręczyła mamie torbę z dużym plastikowym pojemnikiem. - To dla ciebie. Placek z wiśniami - dodała.

- Miałabym ochotę zabrać się za niego od razu, ale będę dzielna i się powstrzymam. - Pani Porter chwyciła za jedno

Nigdy nie mów nigdy

ucho dużej torby podróżnej, jej córka za drugie i ruszyły na parking.

Z Long Wharf do dzielnicy, w której teraz mieszkały, jechało się dobre pół godziny, Kathryn miała więc czas, żeby opowiedzieć mamie o wycieczkach rowerowych, o spacerach z Tajfunem, o obsiewaniu wysp, no i o Scotcie. Była na niego zła o sposób, w jaki się z nią pożegnał - a właściwie o to, że nie pożegnał się wcale - nie potrafiła się jednak powstrzymać przed opowiadaniem o nim.

Matka zerknęła na nią kątem oka.

- Widzę, że polubiłaś tego chłopca.

- Wiesz, czasami go lubię, a czasami miałabym go ochotę zamordować!

Pani Porter uśmiechnęła się.

- No, no... To wygląda poważniej, niż sądziłam.

Kathryn nie od razu zareagowała na jej słowa, bo właśnie wjechały do ładnej, bardzo zielonej dzielnicy z niedużymi, ale zadbanymi domami. Rozejrzała się i spytała:

- To gdzieś niedaleko? - Przed wyjazdem na Cape Cod matka kilkakrotnie namawiała ją, żeby się tu z nią wybrała, lecz dziewczyna za każdym razem jakoś się wykręcała.

- Całkiem niedaleko - odparła pani Porter.

- A co właściwie chciałaś powiedzieć, mówiąc... - Kathryn postanowiła wrócić do przerwanej wątku, ale właśnie w tym momencie jej matka zwolniła i skręciła w podjazd prowadzący do ich domu.

- To tu? - zapytała zaskoczona dziewczyna. Kiedy do wiedziała się o wyprowadzce z Beacon Hill, była tak bardzo nieszczęśliwa, że nie próbowała nawet słuchać tego, co mama mówi o tym domu. Po prostu założyła, że będzie okropny, i uparcie trzymała się tej myśli.

- Dlaczego cię to tak dziwi? - Pani Porter uśmiechnęła się.
- Bo myślałam, że... że...
- Że to będzie jakaś rudera?
- Może nie rudera, ale wyobrażałam go sobie dużo gorzej.
- No to wysiadaj, zobaczysz, jak jest w środku.

i _wie godziny później Kathryn zdążyła już obejrzeć cały dom, wziąć prysznic, zjeść sałatę, którą napędce przygotowała pani Porter, i wyjąć rzeczy z torby przywiezionej z Cape Cod.

Czekało ją jeszcze rozpakowywanie pudeł, ale to postanowiła odłożyć na jutro. Chciała jak najszybciej zadzwonić do Rebeki. Obiecała wprawdzie Marcowi, że odezwie się do niego, jak tylko będzie w Bostonie, lecz chęć usłyszenia głosu przyjaciółki i podzielenia się z nią wrażeniami z wakacji była silniejsza. Na telefon do Marca będzie miała jeszcze czas.

Nie przewidziała tylko, że rozmowa z przyjaciółką zajmie jej półtorej godziny. A i tak obie miały wrażenie, że byłoby o czym mówić do późnej nocy. Ustaliły więc, że spotkają się następnego dnia, i to na tyle wcześnie, żeby nie zabrakło im czasu na zwierzenia.

Kathryn już wcisnęła pierwsze dwie cyfry numeru Marca, kiedy nagle uświadomiła sobie, że tak naprawdę to miałyby ochotę zadzwonić do Scotta. Zdziwiona tym, odłożyła słuchawkę i próbowała uporządkować własne myśli i uczucia, lecz im bardziej usiłowała to zrobić, tym bardziej wszystko się gmatwało.

Wreszcie powiedziała sobie, że po pierwsze, nie ma

numeru Scotta, a po drugie, obiecała przecież Marcowi, że zadzwoni.

Telefon zadzwonił, właśnie kiedy chciała sięgnąć po słuchawkę.

- Halo, tu Kathryn Porter.
- Cześć. Od godziny nie mogę się do ciebie dodzwonić. - W głosie Marca wyraźnie słychać było zniecierpliwienie.
- Rozmawiałam z Rebecą - wyjaśniła.
- Miałas przecież do mnie zadzwonić od razu po przyjeździe - powiedział z wyrzutem.
- Przepraszam, chciałam to zrobić zaraz po telefonie do Rebeki, ale nie przewidziałam, że się tak rozgadamy.

W słuchawce zapadła cisza.

- Przepraszam - powtórzyła i poczuła się trochę winna.
- To co, spotykamy się dzisiaj? - spytał już trochę udobruchany Marc.
- Chętnie - odparła i poczuła się jeszcze bardziej winna, zdała sobie bowiem sprawę, że wcale nie ma ochoty się z nim widzieć, przynajmniej nie dzisiaj. Wolałyby zostać w domu i jakoś dojść do ładu z własnymi uczuciami.

Chwilę trwało, zanim ustalili miejsce spotkania. Marc chciał się wybrać do którejś z modnych dyskotek, lecz Kathryn uznała, że po ciszy i spokoju Cape Cod będzie to dla niej zbyt duży szok, wołała więc jakieś bardziej kameralne miejsce. Wołała pójść na lody do Vincence'a, tam gdzie byli z Rebecą przed wakacjami. Marc, choć nie bardzo tym zachwycony, w końcu jednak się zgodził.

I Kathryn siedziała u Vincence'a niecałe pół godziny i już od co najmniej pięciu minut dyskretnie zerknęła na zegarek,

zastanawiając się, jak znieśie jeszcze przez dwie godziny towarzystwo Marca, którego zaledwie półtora miesiąca temu uważała za chłopaka swoich marzeń.

Pani Porter podwiozła ją, a sama wybrała się z przyjaciółką do kina i po filmie miała córkę odebrać. Dziewczyna nie mogła więc zadzwonić do niej i poprosić, żeby przyjechała po nią wcześniej.

Marc wyglądał jak zawsze świetnie. Na tle mocno opalonej twarzy jego niebieskie oczy wydawały się niemal błękitne. Siedzące przy sąsiednich stolikach dziewczyny popatrywały na niego z zachwytem, a na Kathryn z zazdrością. Najpierw sprawiało jej to satysfakcję, potem zaczęło ją irytować, a w końcu śmieszyć. Zdała sobie bowiem sprawę, że tak naprawdę ten chłopak nie bardzo ją obchodzi, tak jak nie obchodziły jej snobistyczne dyskoteki i kluby w Cannes i Monte Carlo i ludzie, których w nich spotykał.

Kiedy o tym wszystkim opowiadał, miała wrażenie, że nie spędzili wakacji na dwóch różnych kontynentach, lecz na dwóch różnych planetach. Co więcej, ta planeta, na której była ona, podobała jej się znacznie bardziej niż ta, którą tak zachwycał się Marc.

Słuchała go z coraz większym znudzeniem.

- Ale ty w ogóle nic nie mówisz - powiedział, widząc jej dość niewyraźną minę. - Jak tam było na Cape Cod?

Nie miała ochoty opowiadać mu o wycieczkach rowerowych, obsiewaniu wysp czy spacerze po Pnwincetown, i to nie dlatego, że wstydziła się tak spokojnie spędzonych wakacji. Bała się, że jeśli opowie o tym Marcowi, to wszystkie miłe wspomnienia stracą swój czar.

Wzruszyła więc ramionami i rzuciła:

- Jak to na Cape Cod.

Nie próbował jej wypytywać; wrócił do swojej relacji, zupełnie nie przejmując się milczeniem Kathryn.

W którymś momencie złapała się na tym, że przestała go słuchać. Myślami była na Cape Cod i choć przy stoliku naprzeciwko niej siedział opalony blondyn, przed oczami miała obraz uśmiechniętego chłopca z rozwianymi na wietrze włosami. Widziała błyszczące ciemne oczy, takie jakie miał Scott, gdy opowiadał o swojej łodzi. A potem nagle ujrzała w myślach te same oczy, tyle że teraz miały zupełnie inny, smutny, wyraz... taki jak wtedy kiedy... Kiedy zadzwonił Marc!

Nagle zrozumiała te dziwne fochy Scotta. I za pierwszym, i za drugim razem wypadł niczym poparzony z domu jej dziadków po tym, jak zadzwonił do niej Marc.

Scott był zazdrosny. Kathryn zdawała sobie sprawę, że zazdrość nie należy do uczuć, które należy pochwalać, ale nie miała mu jej za złe. Słyszała co prawda wypowiedzi mądrych ludzi o tym, że zazdrość wcale nie jest dowodem czyichś uczuć, i zwykle się z tym zgadzała. Teraz jednak miała nadzieję, że Scott był zazdrosny nie dlatego, że taki jest już z natury, ale dlatego że mu na niej zależy.

- ...nie sądzisz? - usłyszała nagle głos Marca.

Wiele by teraz dała, żeby się dowiedzieć, na jaki to temat ma wyrazić swoje zdanie, bo nie miała bladego pojęcia, o czym on mówił.

- Przepraszam cię, zamyśliłam się na chwilę - powie działa.

- Na chwilę? Nie słuchasz mnie już od dłuższego czasu. Nie interesuje cię to, o czym mówię?

W pierwszym odruchu miała ochotę skłamać. Półtora

miesiąca temu z całą pewnością zrobiłaby to w podobnej sytuacji, dziś jednak zdobyła się na szczerść.

- Tak naprawdę to nie interesuje mnie to ani trochę.

Marca zatkało. Przez chwilę przyglądał jej się uważnie, w końcu odezwał się nienaturalnie spokojnym głosem:

- Zupełnie się zmieniłaś w czasie tych wakacji.

- Chyba masz rację - przyznała, a po dłuższej przerwie dodała: - Ale ty jesteś taki sam.

- Nie wiem, o co ci chodzi - obruszył się chłopak. - Masz do mnie o coś pretensję?

- Nie, skądże.

- Naprawdę jesteś całkiem inna.

- Ale chyba wolę siebie taką, jaka jestem teraz.

Marc zapomniał na chwilę o manierach i bez silenia się na dyskrecję spojrzął na zegarek.

- Moja mama powinna tu być za godzinę, ale jak nie masz czasu, naprawdę nie musisz ze mną czekać - uspokoiła go Kathryn.

Miała nadzieję, że on skorzysta z tej możliwości i szybko się pożegnają, lecz tym razem jego dobre wychowanie wzięło górę nad urażoną dumą.

- Chcesz tu zostać sama?

- Nic by mi się nie stało, to spokojne miejsce.

On jednak postanowił być do końca dżentelmenem i przesiedzieli jeszcze godzinę u Vincence'a. Atmosfera między nimi była tak sztywna, że Kathryn zamówiła drugą wielką porcję lodów i chyba tylko dzięki temu jakoś to przetrwała. O dziesiątej wyszli i czekali chwilę na zewnątrz. Kiedy zobaczyli nadjeżdżający samochód pani Porter, odetchnęli z ulgą.

Pożegnali się dość oschle i choć jedno i drugie obiecało,

że wkrótce się odezwie, żadne z nich nie mówiło tego poważnie.

IN o wreszcie! - zawołała Rebeca, patrząc ze zdumieniem na przyjaciółkę. - Wiedziałam, że w końcu przejrysz na oczy, ale nie przypuszczałam, że tak szybko.

Siedziały na dywanie w pokoju Kathryn, między wciąż nierozpakowanymi pudłami. Rebeca, która od tygodnia była dumną posiadaczką prawa jazdy, przyjechała z samego rana i mogła zostać u Kathryn na cały dzień. Miały więc mnóstwo czasu na zwierzenia.

Tak jak to często bywa z przyjaciółkami, które długo się nie widziały - a dla nich półtora miesiąca było całą wiecznością - przez chwilę obie nie wiedziały, o czym opowiadać, bo tyle się tego nazbierało.

Najpierw zaczęła mówić Kathryn i zaskoczyła Rebecę wiadomością o tym, że nie jest już zakochana w Marcu.

- Nie mam pojęcia, co ja w nim widziałam - przyznała.

- Pewnie zaimponowało ci to, że większość dziewcząt ze szkoły za nim szaleje.

- Chyba tak - powiedziała Kathryn, wstydząc się trochę, że była tak bardzo powierzchowna w ocenie Marca.

- Nie przejmuj się - pocieszyła ją przyjaciółka. - Najważniejsze, że wreszcie zobaczyłaś, jaki on jest naprawdę. Nadęty snob, i tyle. - Widząc smutną twarz Kathryn, do dała: - Na pewno poznasz chłopaka, w którym warto będzie się zakochać, uwierz mi. - Przerwała na chwilę i uśmiechnęła się. - Wiesz, ja chyba takiego spotkałam...

- I nic mi nie mówisz?!

Rebeca opowiedziała o koledze brata, który podobał jej

się już od jakiegoś czasu, ale dopiero krótko przed wakacjami zwrócił na nią uwagę.

- Spotkaliśmy się na razie tylko kilka razy. Nie wiem jeszcze, co z tego wyjdzie, ale...

- Jesteś w nim zakochana - domyśliła się Kathryn.

Rebeca nagle wpadła na pomysł, że pomoże przyjaciółce rozpakowywać rzeczy. Dziewczęta, krzając się, wymieniały się wrażeniami z wakacji i po kilku godzinach zawartość połowy pudeł była już ułożona w szafach i na półkach.

- Dalej masz żal do ojca o to, że nie wziął ci? do Francji? - spytała Rebeca, kiedy poszły do kuchni, żeby zrobić sobie coś do jedzenia.

Kathryn długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Wiesz - odezwała się w końcu - uważani, że nie powinien łamać obietnicy, ale tym razem wyszło mi to chyba na dobre.

- A ten twój Scott? Jaki on jest?

Kathryn popatrzyła na przyjaciółkę ze zdumieniem. Owszem, zdążyła jej już opowiedzieć o tym, jak Scott zawiózł ją do domu po tym nieszczęsnym upadku z roweru, o wspólnym obsiewaniu wysp i o wyjeździe do Provincetown, ale nie wspomniała przecież słowem o tym, że interesuje się nim bardziej niż jakimkolwiek innym chłopakiem.

- Dlaczego mój? Czy powiedziałam coś takiego, z czego mogłoby wynikać...

- Nie chodzi o to, co mówiłaś - przerwała jej przyjaciółka - ale o to, jak mówiłaś.

Kathryn przypomniała sobie, że ona i Rebeca często rozumieją się bez słów. Czyżby przyjaciółka domyśliła się tego, z czego ona sama nie do końca zdawała sobie sprawę? Kathryn czuła, że bardzo zależy jej na tym chłopcu, ale po tym, jak pomyliła się w ocenie Marca, wolała być ostrożna.

Poza tym straciła przecież kontakt ze Scottem i nawet nie wiedziała, czy go jeszcze kiedyś zobaczy.

- Nie jestem aż taka wścibska - powiedziała Rebeca. - Jeśli nie chcesz o tym mówić, nie obrażę się, ale nie próbuj mi wmawiać, że to tylko kolega, którego poznałaś na wakacjach.

Kathryn nigdy niczego przed nią nie ukrywała, więc również teraz postanowiła być całkowicie szczerą i zwierzyła jej się ze wszystkiego.

- No ale skoro twój dziadek przyjaźni się z jego dziadkiem, to mogłabyś bez trudu zdobyć numer telefonu - zauważyła Rebeca, gdy przyjaciółka poskarżyła jej się, że nie ma ze Scottem żadnego kontaktu.

- Właściwie tak. Tylko nie wiem, czy po tym, jak się wobec mnie zachował, powinnam to zrobić.

- Z tego, co mówisz, wygląda na to, że on jest zwyczajnie zazdrosny. Albo pomyślał, że masz chłopaka, i nie chciał ci się narzucać.

- Mógł zapytać - odparła Kathryn, lecz natychmiast zdała sobie sprawę, że dopiero wczoraj wieczorem przestała widzieć w Marcu chłopaka swoich marzeń. - Choć, szczerze mówiąc, nie wiem, co bym mu wtedy odpowiedziała - przyznała.

- No widzisz.

- Mimo to mógł spytać.

- Pewnie, że mógł, ale nie wiesz, jacy są chłopcy?

- Myślisz, że powinnam zadzwonić do dziadków i po prosić, żeby spytali dziadka Scotta o jego numer? - zapytała Kathryn niepewnym głosem.

- Sama musisz zdecydować - poradziła jej przyjaciółka. - Ja na twoim miejscu bym to zrobiła.

Przerwały, bo usłyszały odgłos otwieranych drzwi i po chwili do kuchni weszła pani Porter.

- Cześć, dziewczyno! - zawołała wesoło

Kathryn wiedziała, że mama miała tego dnia jakieś ważne spotkanie w wydawnictwie, i widząc jej rozpromienioną twarz, domyśliła się, że musiało się udać.

- No i jak poszło? - spytała.

- Lepiej, niż się spodziewałam. Liczyłam tylko na luźną współpracę z nimi, a tymczasem od pierwszego zaczynam pracować na stałe.

- To świetnie - ucieszyła się Kathryn. - Naprawdę jestem z ciebie dumna.

- Pójdę tylko się przebrać i zaraz wracam - powiedziała pani Porter. - Widzę, że zgłodniałyście - dodała, kiedy zobaczyła na kuchennym blacie wyciągnięte z lodówki wiktuały. Ja też bym coś przegryzła.

Kiedy wyszła, jej córka zwróciła się do przyjaciółki:

- A co słyhać u twojej mamy?

Natychmiast pożałowała, że zadała to pytanie, bo Rebeca posmutniała i odparła:

- Nic. poza tym że wczoraj wykupiła pół kolekcji Armani.

Wieczorem, po wyjściu przyjaciółki, Kathryn, rozpamiętując resztę swoich rzeczy, biła się z myślami, czy zadzwonić do dziadków. Wciąż uważała, że to Scott zachował się głupio i to on powinien odezwać się pierwszy. W jej myśli natychmiast jednak wkraśl się lęk, że może mu wcale nie zależeć na tym, by kontynuować tę znajomość. Żeby nie pograć się w smutku, przypominała sobie jego słowa, gesty czy spojrzenia, które temu zaprzeczały.

Kiedy wreszcie zdecydowała się zadzwonić, spojrzała na

zegarek i stwierdziła, że jest za późno; o tej porze dziadkowie na pewno już spali.

Długo przewracała się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Na jutro miała zobaczyć swoją nową szkołę i obawy z tym związane na jakiś czas odciągnęły jej myśli od Scotta, lecz zanim zasnęła, kilka razy powtórzyła szeptem jego imię.

Tej nocy miała piękny sen. Śniło jej się, że płynie ze Scottem jego łodzią.

Liceum imienia Jeffersona tak bardzo różniło się od starej szkoły Kathryn, że dziewczyna, zmierzając do wejścia, aż przystanąła. Miała przed sobą duży nowoczesny budynek, otoczony mnóstwem zieleni.

Pani Porter, pamiętając o tym, jak bardzo córka nie chciała zmieniać szkoły, objęła ją i spytała z obawą:

- Chyba nie wygląda tak źle?

- Nie - odparła Kathryn. - Po prostu wydawało mi się, że wszystkie szkoły muszą się mieścić w starych ponurych gmazyskach.

Matka roześmiała się i weszły do budynku pustej - bo zajęcia miały się rozpocząć dopiero za cztery dni - szkoły.

Dyrektorka, z którą pani Porter umówiła się telefonicznie, była w swoim gabinecie. Widząc treść wchodzącej niepewnym krokiem dziewczyny, uśmiechnęła się serdecznie.

- Nazywam się Porter - przedstawiła się matka. - A to moja córka Kathryn.

Dziewczyna skinęła grzecznie głową. Tak jak zaskoczył ją szkolny budynek, tak teraz zdziwił ją widok dyrektorki, ładnej kobiety koło trzydziestki. Dyrektorka Liceum Stuarta, panna Carter, była sztywną starszą panią, która bez charak-

teryzacji mogłaby grać nauczycielkę dziewiętnastowiecznej pensji dla panien z dobrych domów.

- Jestem Natalie Harris - powiedziała dyrektorka, po czym podała rękę matce i córce. - Proszę usiąść. - Wskazała dwa krzesła stojące naprzeciwko biurka, usiadła i jeszcze raz się uśmiechnęła.

Po pięciu minutach dziewczynie minęła trema. Spokojnie słuchała informacji, jakich udzielała dyrektorka, i nawet sama zadawała jej pytania.

- Mam nadzieję, że będziesz się u nas dobrze czuć - powiedziała na koniec pani Harris. - Jest jeszcze coś, co chciałabyś wiedzieć?

Kathryn zastanawiała się przez chwilę, po czym zadała pytanie, które jej, przyzwyczajonej do rygorystycznie egzekwowanego obowiązku noszenia szkolnego mundurka, wydawało się niesłychanie ważne.

- Czy w tej szkole obowiązują jakieś stroje?

- Nie - odparła dyrektorka. - Nie, w tej kwestii niczego uczniom nie narzucamy. I, na ile zdążyłam się zorientować, wcale nie jest to konieczne. - Popatrzyła na dziewczynę i widząc jej dość skromny strój, dodała: - Nie sądzę, żeby w twoim przypadku były z tym jakieś problemy.

- A czy dzinsy są dozwolone? - zapytała Kathryn niepewnie.

Pani Harris roześmiała się i na chwilę wstała z fotela. Dopiero wtedy dziewczyna zauważyła, że ma na sobie dzinsy.

- Większość z nas, nauczycieli, jest zdania, że jeśli się zwraca niepotrzebnie uwagę na tak nieistotne rzeczy jak stroje uczniów, to można przeoczyć sprawy o wiele ważniejsze - powiedziała dyrektorka. - Jeśli chciałabyś się

jeszcze czegoś dowiedzieć, to śmiało pytaj - zachęciła nową uczennicę.

Kathryn nie przychodziły już jednak do głowy żadne pytania, więc podziękowała i pożegnawszy się z panią Harris, ona i mama opuściły gabinet.

Kiedy wychodziły z budynku szkoły, dziewczyna zaczęła się śmiać.

- Co cię tak rozbawiło? - zdziwiła się matka.

- Wyobraziłam sobie pannę Carter w dzinsach.

ro południu Kathryn zadzwoniła do dziadków. Odebrała babcia.

- Wiesz, jak tu jest teraz smutno? - poskarżyła się wnuczce. - Bardzo nam ciebie brakuje.

- Ja też za wami tęsknię - powiedziała całkiem szczerze dziewczyna.

Przez chwilę mówiła o nowej szkole, pytała o dziadka i Tajfunę, zanim odważyła się przystąpić do *rzeczy*.

- Wiesz, babciu, mam do ciebie prośbę. Obiecałam pożyczyć Scottowi książkę, na której bardzo mu zależy, i zapomniałam wziąć od niego numer telefonu. - Zawsze czuła się źle, kiedy kłamała, teraz jednak było jeszcze gorzej, bo okłamywała osobę, którą kochała.

- Szkoda, że nie zadzwoniłaś wczoraj - zmartwiła się pani Crawford. - Zastałabyś go jeszcze na Cape Cod. Dzisiaj rano wyjechał. Był nawet u nas, żeby się pożegnać.

- Miał tam przecież zostać do końca wakacji.

- Tak, ale jego ojciec wrócił wcześniej do Bostonu i Scott chciał się z nim jak najszybciej zobaczyć.

Kathryn milczała przez chwilę, zastanawiając się, jak

poprosić babcię, żeby zdobyła dla niej numer jego telefonu, ale ta na szczęście sama to zaproponowała.

- Poproszę pana Abbotta o numer telefonu jego wnuka i zadzwonię do ciebie.

- To nie jest takie pilne - powiedziała Kathryn, nie chcąc wzbudzać w starszej pani żadnych podejrzeń. Wyobraziła sobie jednak, jak całymi godzinami albo i dniami będzie czekać, aż babcia się odezwie, i pożałowała, że to zrobiła. - Ale bardzo dziękuję.

- Nie ma za co, kochanie. A poza tym Scott to taki miły chłopak... - zaczęła pani Crawford, lecz wnuczka nie dała jej skończyć.

- Tu naprawdę chodzi tylko o tę książkę - tłumaczyła się. Choć wiedziała, że w ten sposób jeszcze bardziej się pogrąża.

- Oczywiście, że tylko o książkę - przytaknęła jej starsza pani.

Dziewczyna byłaby gotowa się założyć o pięć kulek lodów o różnych smakach, że w oczach babci pojawia się teraz filuterny uśmiech.

JVathryn nie doczekała się telefonu od babci ani tego dnia, ani następnego. Trzeciego dnia już była zdecydowana do niej zadzwonić, kiedy przypomniała sobie o istnieniu czegoś takiego jak książka telefoniczna. Zachwycona własnym pomysłem, otworzyła ją na literze A i natychmiast jej zapal zgasł. Abbottów było w Bostonie trzynastu.

Przeczesała wszystkie zakamarki swojej pamięci, usiłując znaleźć jakąś wskazówkę na to, w jakiej części miasta chłopak może mieszkać, ale na próżno. Wiedziała tylko

jedno, że nie w centrum. I w ten sposób wykluczyła dwóch Abbotów. Potem wyeliminowała jeszcze trzech, a właściwie trzy, bo imiona były żeńskie, a dowiedziała się od Scotta, że jego ojciec przed dwoma laty rozwiódł się z matką i ta wyjechała z nowym mężem do Seattle. W ten sposób zostało jej tylko osiem numerów.

Była pewna, że dziadek Scotta, mówiąc o swoim synu - a robił to dość często - musiał wymienić jego imię, przeczytała więc głośno osiem imion, licząc na to, że wtedy sobie przypomni. Stwierdziła jednak, że równie dobrze mógł to być John, jak William, Thomas czy Brandon.

Pod pierwszymi dwoma numerami zgłosiły się automatyczne sekretarki, pod trzecim nikt nie odbierał i dopiero przy czwartym słuchawkę podniosła jakaś starsza pani i powiedziała, że nie zna żadnego Scotta. Potem znów były dwie sekretarki, bardzo nieuprzejmy mężczyzna, który warknął „Pomyłka” i się rozłączył, a na koniec chłopak, bardzo miły, ale nie Scott.

Załamana, postanowiła zadzwonić na Cape Cod.

Tym razem odebrał pan Crawford.

- A, to ty Kathryn!

- Cześć, dziadku, co słyhać?

- Wszystko w porządku.

Tak jak się spodziewała, zaczął opowiadać o tym, jak na wydmach pięknie rośnie trawa, i kiedy indziej pewnie bardzo by ją to cieszyło, dziś jednak zależało jej na tym, by jak najszybciej mieć za sobą to, z czym dzwoniła.

- Jest babcia? - spytała, kiedy na chwilę przerwał.

- Obcina w ogrodzie uschnięte hortensje. Mam ją za wołać?

- Nie - odparła Kathryn. - Właściwie nie dzwonię z ni-

czym ważnym. Babcia miała się dowiedzieć o numer telefonu Scotta.

- Ach, tak... przypominam sobie, prosiła mnie, żebym go wziął od jego dziadka.

- I co? - zapytała dziewczyna

Cisza w słuchawce wydała jej się dziwnie długa.

- No, widzisz, jak to jest ze starymi ludźmi - odezwał się w końcu pan Crawford. - Zupełnie wyleciało mi to z głowy. Przepraszam cię, dziecko.

Kathryn nie wierzyła własnym uszom. Dziadek szczycił się, i to nie bez podstaw, swoją doskonałą pamięcią. Spędziła z nim przecież kilka tygodni i nigdy nie zapominał o najmniejszym nawet drobiazgu.

- Nic się nie stało - powiedziała po chwili. - To nie było aż takie ważne.

- Skoro tak, to rzeczywiście nic takiego się nie stało.

Wydawało jej się, że słyszy w głosie starszego pana nutkę ironii, ale może była tylko przeczulona.

- No to trzymaj się, dziadku - rzuciła speszona. - I ucałuj ode mnie babcię.

- Na pewno to zrobię - obiecał pan Crawford. Nagle coś sobie przypomniał. - Jutro twój pierwszy dzień w nowej szkole, prawda? Zadzwońmy, żeby się dowiedzieć, jak było, a przy okazji damy ci ten telefon do Scotta.

- Dziękuję, pa.

Kathryn odłożyła słuchawkę, lecz dalej stała przy telefonie. Nie wierzyła w kłopoty z pamięcią dziadka, a poza tym była pewna, że nawet gdyby jemu wyleciało z głowy zapytać starszego pana Abbotta o telefon wnuka, to przypomniaby mu o tym babcia.

Długo zastanawiała się, o co w tym wszystkim chodzi,

i wreszcie znalazła odpowiedź. Nie była to odpowiedź miła, ale, niestety, jedyna, jaka jej się nasuwała.

Scott nie chciał, żeby znała jego numer. Nie zależało mu na kontaktach z nią, a dziadkowie zwodzili ją, nie chcąc sprawiać jej przykrości.



Rozdział 7

JCathryn niepewnym krokiem przemierzała dziedziniec swojej nowej szkoły. Wokół pełno było uczniów, którzy, jak to zawsze bywa po wakacjach, witali się, przekrzykując się nawzajem. Dziewczęta rzucały się sobie na szyję, chłopcy byli trochę bardziej powściągliwi. Wszyscy stali lub szli w grupach albo parach.

Ona jedna była sama. W tym hałaśliwym tłumie prawie nikt nie zwracał na nią uwagi. Tylko kilka osób obrzuciło ją spojrzem, na jakie zawsze są narażeni nowi uczniowie.

Kathryn długo zastanawiała się, w co się ubrać tego pierwszego dnia, w końcu wybrała swoje ulubione dzinsy i T-shirt, i była to dobra decyzja. Teraz czuła, że niczym się nie wyróżnia, a na tym właśnie jej zależało, przynajmniej dzisiaj.

Najbardziej obawiała się pytań nowych koleżanek i ko-

Nigdy nie mów nigdy

łęgów o poprzednią szkołę. Bała się, że jako była uczennica jednej z najbardziej ekskluzywnych szkół w mieście zostanie przez nich z góry odrzucona i nigdy się nie pozbędzie etykiety panny z bogatego domu. Wczoraj wieczorem rozmawiała o tym z mamą.

- A w Liceum Stuarta nie było nikogo, kto wcześniej chodził do publicznej szkoły? - zapytała pani Porter.

- W zeszłym roku przyszedł do nas taki chłopak - odparła Kathryn.

- I jak go traktowaliście?

- Dla większości z nas nie miało to znaczenia.

- No widzisz.

- Ale byli i tacy, którzy na początku go odrzucili i potem już się tego trzymali - odparła. Nie dodała, że wśród nich znalazł się również Marek.

- W twojej nowej szkole będzie pewnie tak samo. To, czy cię zaakceptują, czy nie, zależy tylko od ciebie. Oczywiście cie, że w każdej większej grupie ludzi znajdą się tacy, którzy kierują się uprzedzeniami, ale to jest ich problem, a nie twój. Ja w ciebie wierzę - oświadczyła z mocą pani Porter. - Wiem, że sobie poradzisz.

Udało jej się przekonać córkę, ale teraz w Kathryn znów zaczynały budzić się obawy.

Przy samym budynku szkolnym tłum był tak gęsty, że musiała się przeciskać. Coraz bardziej zagubiona, tęskniła za choćby jedną znajomą twarzą.

I nagle ją ujrzała. Nie wierząc własnym oczom, przetarła je. Kiedy ktoś ją popchnął, na kilka sekund znajoma twarz znikła, a potem Kathryn znów zobaczyła ciemne włosy, brązowe błyszczące oczy i uśmiech.

Przy drzwiach wejściowych stał Scott i uśmiechał się do

niej. Widząc, że nie może się wydostać z tłumu wchodzących do budynku uczniów, jakoś się do niej przepchnął i odciągnął na bok.

Zaskoczona, przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Do głowy przychodziły jej dziesiątki pytań, ale nie miała pojęcia, od czego zacząć. W końcu zadała to, które wydawało jej się najbardziej logiczne:

- Co ty tutaj robisz?
- Patrzę na ciebie.
- Ale co robiłeś wcześniej?
- Czekałem na ciebie.
- Nie musisz być dzisiaj w swojej szkole? - Pytania zadawała w kolejności, w jakiej przychodziły jej do głowy, zupełnie nie licząc się z logiką.
- Właśnie pod nią stoję - odparł Scott.
- Nie mówiłeś mi, że tu chodzisz.
- Jakoś nie było okazji. Ty wprawdzie opowiadałaś o tym, że zmieniasz szkołę, ale też nie wspomniałaś, że będziesz chodzić do Jeffersona.

Kathryn wołała teraz nie tłumaczyć, że wtedy nie pogodziła się jeszcze z wyprowadzką z Beacon Hill i ze wszystkim, co się z tym wiązało. Wyjaśnianie tego zajęłoby jej zbyt dużo czasu, a tymczasem nasuwały jej się kolejne pytania.

- Powiedziałeś, że na mnie czekałeś.
- Scott skinął głową.
- Ale skąd wiedziałeś, że... - Zamilkła, bo nagle wszystko zrozumiała. - Od mojego dziadka, prawda?
 - Ściślej mówiąc, od babci.
 - Kiedy ci o tym powiedzieli?
 - Tego dnia, jak wyjeżdżałem do Bostonu, poszedłem do nich, żeby się pożegnać. Poprosiłem o numer twojego

telefonu, a przy okazji dowiedziałem się, gdzie teraz mieszkasz. Wiesz, to niesamowite. Rozmawialiśmy o tylu rzeczach, a nie wiedzieliśmy, że będziemy prawie sąsiadami. Kathryn popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Mieszkam dwie ulice od ciebie - wyjaśnił. - Pytałem ich też o twoją nową szkołę. Powiedzieli, że mama znalazła ci jakąś gdzieś bardzo blisko domu - ciągnął. - A tu poza Jeffersonem nie ma w pobliżu żadnego liceum.

- Przecież po twoim wyjeździe, jeszcze tego samego dnia, rozmawiałam z babcią. Nic mi o tym nie wspomniała. A wczoraj dziadek... - Popatrzyła na Scotta i roześmiała się. - Uknuliście spisek przeciwko mnie.

- Wcale nie spisek - powiedział Scott z udawanym oburzeniem. - I wcale nie przeciwko tobie. Poprosiłem tylko państwa Crawfordów, żeby na razie nic ci o tym nie mówili. Chciałem ci zrobić niespodziankę. Udało mi się? - spytał, patrząc z uśmiechem na Kathryn.

- I to jak!

- Muszę ci się do czegoś przyznać - odezwał się nie śmiało. - Sam nie wiem, jak wytrzymałem aż do dzisiaj, bo miałem ochotę zadzwonić do ciebie zaraz po powrocie z Cape Cod.

Serce Kathryn zabiło tak mocno, jak jeszcze nigdy dotąd. Scott, nie zważając na swoją męską dumę, otworzył się przed nią, postanowiła więc odwzajemnić się szczerością.

- A wiesz po co dzwoniłam wtedy do babci? Chciałam, żeby zdobyła twój numer telefonu. - Na razie postanowiła nie opowiadać o tym, jak wydzwaniała do wszystkich Abbottów w mieście, którzy nie mieszkali w centrum i nie nosili żeńskiego imienia.

Twarz chłopca rozpromieniła się, a jego brązowe oczy

błyszczały. Tak samo jak wtedy, gdy mówił o swoim jachcie, pomyślała Kathryn. A może nawet bardziej.

- Bałem się, że będziesz na mnie zła po tym, jak drugi raz zachowałem się jak kompletny idiota.

- Trochę byłam - przyznała. - Ale chyba wiem, o co ci chodziło.

- Skąd? - zapytał speszony.

- Bo w przeciwieństwie do niektórych nie jestem kompletną idiotką. Chodziło ci o te telefony od Marca, prawda? Scott skinął głową.

- Myślałeś, że jest moim chłopakiem.

- A nie jest? - Popatrzył na nią z nadzieją w oczach.

- Nie jest - oświadczyła z przekonaniem i po chwili zastanowienia dodała: - I wiesz co, chyba lepiej, że wtedy mnie o to nie pytałeś, bo nie jestem całkiem pewna, co bym ci odpowiedziała.

Szkolny dziedziniec prawie opustoszał, a przy drzwiach wejściowych do budynku zrobiło się już luźno.

- Spóźnię się na lekcję pierwszego dnia w nowej szkole - powiedziała przerażona Kathryn. - A muszę jeszcze iść do sekretariatu po mój plan zajęć.

- Wiesz co? Pójdę z tobą i zgłoszę się na ochotnika, żeby oprowadzić cię po szkole. U nas jest taki zwyczaj, że jak przychodzi nowy uczeń, to któryś ze starych pokazuje mu co i jak.

Kathryn, idąc ze Scottem przestronnym korytarzem do sekretariatu, przypomniała sobie, jak dwa miesiące temu, kiedy dowiedziała się o wyprowadzce i zmianie szkoły, powiedziała mamie, że nigdy jej tego nie wybaczy. Teraz postanowiła wykreślić słowo „nigdy” ze swego słownika.

ocott, tak jak się umówili, w czasie przerwy na lunch czekał na Kathryn przed szkolną stołówką.

Serce zabiło jej mocniej, kiedy go zobaczyła. Pięć godzin spędzonych w szkole to trochę za mało, żeby nawiązać przyjaźnię. Rozmawiała wprawdzie na przerwach z kilkoma dziewczętami, które już na pierwszy rzut oka wydały jej się niezwykle sympatyczne, ale wciąż czuła się tu trochę obco i widok Scotta dodał jej otuchy.

- I jak było? - zapytał z obawą, bo w czasie pierwszej godziny lekcyjnej, kiedy oprowadzał ją po szkole, Kathryn zwierzyła mu się ze swoich lęków.

- Chyba całkiem nieźle jak na pierwszy dzień. Poznałam kilka fajnych dziewczyn. Nikt na szczęście mnie nie pytał, do jakiej chodziłam szkoły.

- Wydaje mi się, że zupełnie niepotrzebnie się tym przejmujesz. Chodź, poznasz moich przyjaciół. - Scott wziął ją za rękę i zaprowadził do stołu, przy którym już siedziało dwóch chłopców i dwie dziewczyny. Jedna z nich, o wielkich czarnych oczach w kształcie migdałów, miała na głowie chustkę. Jej strój wyraźnie wskazywał na to, że jest muzułmanką.

Dla Kathryn, która wciąż nie potrafiła oswoić się z myślą, że do szkoły można chodzić w dżinsach, ten strój był szokujący. Miała tylko nadzieję, że w porę zdołała ukryć swoje zdumienie. Obawiała się bowiem, że może to zostać odebrane jako brak tolerancji. A dla niej naprawdę to, czy ktoś jest muzułmaninem, żydem, protestantem czy katolikiem, nie miało żadnego znaczenia.

- To jest Kathryn - przedstawił ją Scott. - Dziś jest pierwszy raz w naszej szkole. A to - wskazał dziewczynę w chustce - Fatima i jej brat Timur. - Chłopiec miał takie

same jak siostra ciemne oczy. - Rok temu przyjechali do Stanów z Bośni. - A to są Patsy i Dennis.

Drobna blondynka i rudy chłopak uśmiechnęli się do nowej koleżanki.

- Cieszę się, że was poznałam - powiedziała Kathryn i usiadła na jednym z dwóch wolnych krzeseł. Drugie zajął Scott.

- Przeprowadziłaś się niedawno do Bostonu? - zagadnęła ją Patsy.

- Nie, mieszkałam w Bostonie, tylko po drugiej stronie miasta - odparła Kathryn.

I wtedy stało się to, czego obawiała się najbardziej.

- A do której szkoły chodziłaś? - spytała Patsy.

Scott, widząc przerażenie w oczach Kathryn, postanowił jej pomóc.

- Do Stuarta. Tylko nie chce o tym mówić, bo się boi, że wszyscy zaczną ją traktować jak panienkę z bogatego domu, a ona ani taka nie jest, ani się tak nie czuje.

„Rycerz w lśniącej zbroi, który wybawia z opresji dziewice”. Kathryn przypomniała sobie słowa Scotta i popatrzyła na niego z wdzięcznością.

- Szkoda, że nie jesteś bogata - powiedział Dennis takim tonem, jakby mówił: „Szkoda, że nie możesz dzisiaj iść do kina”, i Kathryn od razu zrobiło się lżej na duszy. - Fatima i Timur - ciągnął - organizują pomoc dla swoich rówieśników w kraju i próbujemy ich w tym jakoś wspierać. W zeszłym roku udało nam się zebrać trzy tysiące dolarów i przesłać do Bośni.

- Nam i naszym rodzicom udało się wyjechać - oznajmiła ciemnooka dziewczyna - ale nasi przyjaciele... - Głos jej się załamał i dopiero kiedy brat ujął jej dłoń, uspokoiła się.

- Jeśli chcecie coś zjeść, to powinniście się pospieszyć - poradziła Patsy Scottowi i Kathryn. - Tylko nie bierzcie klopsików - dodała, pokazując prawie pełny talerz, który przed chwilą odsunęła na bok. - Są obrzydliwe. - Mięsne kulki rzeczywiście pływały w wyjątkowo nieapetycznym szaroburym sosie.

- Nie słuchaj jej, Kathryn - rzekł Dennis. - W naszej stołówce serwują najlepsze żarcie w całym Bostonie.

Kathryn nie do końca co prawda podzielała jego zdanie, ale atmosfera przy ich stole była tak wesoła i przyjacielska, że jedzenie wydało jej się całkiem znośne.

Jedy w drodze do domu Scott opowiedział wstrząsającą historię o tym, jak rodzina Fatimy i Timura uciekała ze swego nękanego wojną kraju, i o tym, jak dwojce rodzeństwa było na początku ciężko przystosować się do życia w Stanach, Kathryn odczuła potrzebę zrobienia dla nich czegoś.

- Jesteś dobra z angielskiego? - spytał, gdy mu o tym powiedziała.

- Nie najgorsza.

- Fatima ma jeszcze problemy z językiem. Ja pomagam jej i Timurowi w matematyce i fizyce, Patsy w historii. Przydałby się ktoś do angielskiego.

- Zgłaszam się na ochotnika - powiedziała Kathryn. - Nie wiem tylko, czy nie urażę Fatimy, jeśli jej to za proponuję. Trochę krótko się znamy, a ona wygląda na bardzo wrażliwą dziewczynę.

- Po tym, co przeszła, trudno się dziwić. Załatwimy to jakoś delikatnie jutro w czasie lunchu.

Kathryn patrzyła na Scotta z coraz większym podziwem.

W Liceum Stuarta co jakiś czas organizowano przeróżne akcje charytatywne; większość uczniów przeznaczala na nie jakąś niewielką część kieszonkowego, ale nikogo nie interesowało specjalnie, na co są te pieniądze. Scott tymczasem naprawdę chciał pomagać i angażował się w to całym sercem.

- Mieszkam przy tej ulicy - oznajmił, kiedy doszli do rogu. - W czwartym domu po lewej. Może wpadniesz do mnie? - zaproponował.

- Umówiłam się z tatą. Ma przyjechać do mnie za - popatrzyła na zegarek - niecałą godzinę. Nie widziałam go od dwóch miesięcy. - Wciąż czuła lekki żal do ojca, mimo to bardzo za nim tęskniła.

- To odprowadzę cię do domu - zaofiarował się chłopak i ruszyli w stronę następnej przecznicy.

- Dzięki.

- A właśnie, pamiętasz, że w drugi weekend września mieliśmy pojechać na Cape Cod - powiedział Scott, gdy skręcili w ulicę, przy której mieszkała Kathryn. Spojrzał z obawą na dziewczynę i zapytał: - Wciąż masz ochotę popłynąć moim jachtem?

- Jasne. Ale sądziłam, że nic z tego nie wyjdzie, więc nawet nie rozmawiałam o tym z mamą. Mam nadzieję, że się zgodzi.

- Gdyby miała jakieś wątpliwości, to mógłbym poprosić twojego dziadka, żeby spróbował ją przekonać - zaproponował Scott.

- No tak, wy dwaj jesteście przecież mistrzami w konspiracji i knuciu intryg. - Kathryn zatrzymała się przed swoim domem. - Tu mieszkam.

- Wiem, twój dziadek dał mi dokładny adres.

- No właśnie - powiedziała i oboje się roześmiali.

rani Porter nie miała nic przeciwko wyjazdowi córki na Cape Cod i Kathryn żyła już myślą o tej wyprawie. Na szczęście czas płynął jej szybko. W szkole poznawała nowe koleżanki i kolegów, a po lekcjach, korzystając z tego, że jak to zwykle bywa na początku roku szkolnego, nauczyciele nie zadawali wiele prac domowych, spotykała się ze Scottem.

Co drugi dzień przychodziła do niej Fatima, która z wdzięcznością przyjęła propozycję pomocy z angielskiego. Kathryn chętnie słuchała opowieści nowej koleżanki o jej kraju, o bezsensownej wojnie, która się tam toczyła, i często miała wrażenie, że to nie ona pomaga Fatimie, tylko odwrotnie. Dzięki tej cichej dziewczynie o smutnym spojrzeniu czuła się potrzebna i o wiele bogatsza.

Kiedy zwierzyła się z tego Rebecce, z którą codziennie rozmawiała przez telefon, ta powiedziała:

- Wiesz, kilka osób ze Stuarta powinni przenieść do tej twojej szkoły w ramach terapii socjalnej. Zwłaszcza jedną.

- Jeśli mówisz o tej osobie, o której myślę, to obawiam się, że nie poskutkowałaby żadna terapia.

- Chyba masz rację - przyznała Rebecca, zadowolona, że wreszcie może szczerze wyrażać swoją opinię o Marcu O'Neillu. - Ach, właśnie, nie znasz jeszcze najświeższych plotek. Usiądź, bo się przewrócisz - poradziła przyjaciółce.

- Możesz mówić. Leżę na dywanie. - Rebecca nie należała do urodzonych plotkarek, które powtarzają każdą zasłyszaną informację, więc po takim jej wstępie Kathryn nastawiła się na jakiś smakowity kąsek.

- No więc pierwszego dnia po wakacjach Ashley MacKinnon przysłała do szkoły i tak zadzierała nosa jak nigdy dotąd. Uznała widać, że skoro znikła konkurencja... to znaczy ty, to nic już jej nie stanie na drodze do Marca.

Jeszcze dwa miesiące temu Kathryn nigdy by nie uwierzyła, że będzie kiedyś słuchać z rozbawieniem historii o tym, jak inne dziewczyny zabiegają o względy Marca O'Neilla.

- A tymczasem - ciągnęła Rebeca - wyrosła jej nowa konkurencja. Zgadnij kto?

- Wiesz, że zawsze byłam kiepska w zgadywaniu. No, proszę cię, powiedz - błagała Kathryn, bo babska ciekawość nie dawała jej spokoju. - Albo daj mi przynajmniej jakąś wskazówkę.

- No dobrze - zgodziła się jej przyjaciółka. - Kto się wprowadził do waszego domu na Beacon Hill?

- Nie wierze! Mała Lucy?

- Mała? - zdziwiła się Rebeca. - Ona ma z metr osiem dziesiąt wzrostu i wygląda całkiem jak Barbie.

- Jej ojciec mówił o niej „nasza mała Lucy” - wyjaśniła Kathryn.

- No więc „mała Lucy” sprzątnęła Ashley chłopaka sprzed nosa.

Przez chwilę jeszcze dziewczęta, śmiejąc się, rozmawiały o szkolnych plotkach, a potem przyszedł czas na bardziej osobiste zwierzenia.

- Wiesz, to niesamowite, że obie zakochałyśmy się w tym samym czasie - powiedziała na koniec Rebeca.

Kathryn wieczorem w łóżku długo myślała nad słowami przyjaciółki. Przecież nigdy jej nie mówiła, że jest zakochana w Scotcie. Owszem, wspomniała, że jej na nim zależy, że w towarzystwie żadnego innego chłopaka nie czuje się tak dobrze, że go podziwia, że lubi go słuchać i na niego patrzeć, że nie może się doczekać każdego spotkania z nim... Nie powiedziała tylko, że marzy o tym, żeby ją wreszcie pocałował. I nigdy z jej ust nie padło słowo miłość.

Przez ostatni rok do znużenia powtarzała sobie i Rebecce, że jest zakochana w Marcu, a teraz wiedziała, że była to tylko powierzchowna fascynacja, która z miłością miała niewiele wspólnego, i wolała być ostrożna w nazywaniu uczuć, jakie żywiła do Scotta.



Rozdział 8

W reszcie nadszedł długo wyczekiwany drugi weekend września. Scott chciał jechać na Cape Cod samochodem, ale Kathryn pamiętała jeszcze, jak dwa lata temu właśnie o tej porze roku ona i jej rodzice odwiedzali dziadków w ich letniskowym domu i stracili kilka godzin, stojąc w korku przy moście Sagamore, łączącym półwysep z częścią lądową, oddzieloną od niego wybudowanym na początku XX wieku kanałem. Przekonała więc chłopca do podróży promem. Ojciec Scotta miał ich podwieźć w piątek po południu na Long Wharf.

Kathryn, która wiedząc, że po lekcjach nie będzie miała zbyt wiele czasu, spakowała się już w czwartek, teraz, gotowa do wyjścia, z niecierpliwością popatrywała na zegarek.

- Jesteś pewna, że niczego nie zapomniałaś? - spytała ją matka.

Nigdy nie mów nigdy

Dziewczyna jeszcze raz przejrzała w myślach zawartość swojej torby podróżnej.

- Chyba nie - odparła.

- Mam nadzieję, że wzięłaś coś ciepłego. Zapowiadają wprawdzie ładny weekend, ale na Cape Cod pogoda lubi płatać figle. - Pani Porter spojrzała na top na ramiączkach i szorty córki.

- Mam dzinsy, grubą bluzę i kurtkę przeciwdeszczową - odrzekła Kathryn i jeszcze raz niespokojnie zerknęła na zegarek.

Kiedy usłyszała, jak na ulicy przed domem zatrzymuje się samochód, podbiegła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Odetchnęła z ulgą, widząc Scotta wysiadającego od strony pasażera z granatowego sedana.

Mama odprowadziła ją do furtki i właśnie otwierała ją przed dziewczyną, gdy w samochodzie otworzyły się drzwi od strony pasażera i wysiadł wysoki przystojny mężczyzna. Miał mocno siwiejące włosy i brodę, ale twarz i sylwetkę dość młodą. Kathryn uznała, że musi być mniej więcej w wieku jej ojca.

- Dzień dobry - powiedział Scott. - To jest mój tata - zwrócił się do pani Porter, którą poznał już przed kilkoma dniami, i jej córki. Popatrzył na ojca. - To jest pani Porter, mama... - Przerwał, bo tata go nie słuchał.

Pan Abbott i matka Kathryn wpatrywali się w siebie w milczeniu, jakby zapomnieli o całym świecie. Ich zdumione dzieci wymieniły spojrzenia. Oboje wzruszyli ramionami i w napięciu patrzyli na rodziców.

Wreszcie na twarzy pani Porter pojawił się uśmiech,

- Witaj, Steve.

- Cześć, Daisy.

- To wy się znacie? - zapytali jednocześnie Kathryn i Scott.

Pan Abbott uśmiechnął się; bujny zarost na twarzy zasłaniał mu usta, więc uśmiech było widać tylko w jego ciemnych oczach.

- Tak, znamy się, chociaż straciliśmy ze sobą kontakt na prawie... - Zerknął na matkę Kathryn. - Który to był rok? Siedemdziesiąty siódmy?

- Tak, pamiętam, że akurat zmarł Elvis Presley.

- No to nie widzieliśmy się dwadzieścia dwa lata. - Pan Abbott podszedł do pani Porter i padł sobie w ramiona jak starzy przyjaciele. Potem cofnął się o dwa kroki i zmierzył ją od stóp do głów. - Ślicznie wyglądasz, jeszcze ładniej niż wtedy.

Mama Kathryn roześmiała się i pogłaskała go po siwiejącej brodzie.

- Coś tu się chyba szykuje - szepnął Scott dziewczynie do ucha.

- Na to wygląda - odparła, zerkając na matkę, która rzeczywiście wyglądała wyjątkowo ładnie.

Kathryn już od przyjazdu z Cape Cod zauważyła, że mama odmłodziła; praca zawodowa najwyraźniej jej służyła. Teraz jednak, pewnie pod wpływem spotkania ze starym znajomym, jej twarz rozpromieniła się i nabrała szczególnie młodzieńczego wyrazu.

- Mam tylko nadzieję, że odłożą to na kiedy indziej, bo spóźnimy się na prom - dodała, patrząc niecierpliwie na zegarek.

Ten gest nie umknął uwagi jej matki.

- Chyba powinniście już jechać - zwróciła się do ojca Scotta.

- Ale na następne spotkanie nie będziemy czekać dwa dziecięta dwa lata? - rzekł pan Abbott.

- Mam nadzieję.

- Nie wydaje ci się, że jesteśmy stanowczo niedoinformowani? - zapytał Scott dziewczynę, wsadzając jej torbę podróżną do bagażnika.

- Ja wiem chyba trochę więcej niż ty - odparła najciszej, jak mogła, żeby nie słyszała jej mama i pan Abbott, którzy jeszcze ze sobą rozmawiali. - Opowiem ci na promie.

JNo mów, nie mogę się doczekać- powiedział Scott, kiedy tylko wysiadł z sedana ojca i ruszył wraz z Kathryn w stronę przystani dla promów.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Nie bądź taki niecierpliw. To bardzo romantyczna historia. Wymaga odpowiedniej oprawy. Opowiem ci, jak wypłyniemy z portu.

Gdy prom znalazł się na pełnym morzu, chłopak spojrzał na nią z wyczekiwaniem.

- Czegoś mi jeszcze brakuje - rzekła. - Wiem! - zawołała po chwili. - Tu w barku mają niezłe lody.

- Mogę ci nawet postawić pięć kulek o różnych smakach, pod warunkiem, że zaczniesz mówić.

- Tu nie sprzedają w kulkach. Są tylko takie w plastikowych kubeczkach, ale pamiętam, że czekoladowe były całkiem niezłe.

Dziesięć minut później siedzieli na ławce na górnym pokładzie i Kathryn, przerywając co jakiś czas, żeby nie dopuścić do roztopienia się lodów, opowiadała Scottowi

historię o wakacyjnej miłości, którą usłyszała od matki, kiedy dwa miesiące temu płynęły na Cape Cod.

- Niesamowite - rzucił, gdy skończyła.
- Zastanawiam się, dlaczego nie skojarzyłam tego wszystkiego wcześniej. Mama mówiła, że ten jej chłopak był synem sąsiadów, a na Cape Cod nie ma się ich aż tak wielu. A potem dowiedziałam się, że twój dziadek od kilku dziesięciu lat ma tam dom i że jego syn jako chłopiec często spędzał tam wakacje. Powinnam była to wszystko ze sobą powiązać.

- Wiesz, że ja też mogłem się czegoś domyślić. Kiedy wspomniałem ojcu o tobie, pytał, czy byłeś na Cape Cod z rodzicami. Powiedziałem, że nie i że są rozwiedzeni. Wtedy zaczął mnie wypytywać o ciebie i o twoją mamę. Napomknął coś o tym, że kiedyś ją poznał... - Scott prze-rwał; minę miał taką, jakby próbował coś sobie przy-pomnieć. - Tak - odezwał się po dłuższej chwili - było po nim widać, że nie chodzi tu o jakąś pierwszą lepszą znajomość sprzed lat. Tylko ja byłem wtedy tak zajęty myśleniem o tobie, o tym, czy będziesz jeszcze chciała ze mną rozmawiać po tym moim kretyńskim zachowaniu, że nie widziałem niczego.

Kathryn po tych słowach zrobiło się ciepło wokół serca.

- Szkoda, że im nie wyszło - powiedziała.
- Oszalałaś! - zawołał chłopak. - Bardzo dobrze, że im nie wyszło. Wyobraź sobie, że poženiliby się i żyliby długo i szczęśliwie.

- No i co by ci w tym przeszkadzało? - spytała zdziwiona dziewczyna.

- Jak to co?! Naprawdę nie wiesz?

No tak, pomyślała. Wtedy mnie i Scotta albo w ogóle nie

byłoby na świecie, albo bylibyśmy rodzeństwem, albo Bóg wie co jeszcze.

- Chyba już wiem - odparła i uśmiechnęła się do niego. - A swoją drogą to my dwoje jesteśmy okropnymi egoistami.

- Dlaczego? - rzucił beztrąsko. - Teraz mogą sobie to nadrabiać. Ja osobiście nie mam nic przeciwko temu.

- Ja też - przyznała Kathryn.

Siedzieli tak blisko siebie, że czuła bijące od niego ciepło. Ręka Scotta, dotychczas spoczywająca na oparciu ławki, osunęła się i zatrzymała na ramieniu dziewczyny. Kathryn wiedziała, że stanie się to teraz, że Scott za chwilę ją pocałuje. Przymknęła oczy.

Już czuła na twarzy jego ciepły oddech, kiedy rozległ się piskliwy krzyk kobiety.

- Bryan, wracaj! Nie zbliżaj się do burty!

Przez pokład biegł rudy siedmio-, może ośmiolatek. Kiedy ich mijał, omal się nie przewrócił, potykając się o wyciągnięte nogi Scotta. Dzieciak dobiegł do relingu, przechylił się i zaczął wymiotować. Kathryn i jej towarzysz natychmiast się zerwali i ruszyli do niego, lecz zanim dotarli do małego, była już przy nim matka.

- Mówiłam ci, żebyś nie jadł tyle lodów - mówiła piskliwym głosem, odciągawszy zielonkawego na twarzy syna od relingu. - Nigdy mnie nie słuchasz.

Dziewczyna i chłopak uśmiechnęli się do siebie i wrócili na ławkę. Pozostała im jeszcze godzina drogi do Provincetown, ale Kathryn czuła, że na pierwszy pocałunek Scotta będzie musiała poczekać trochę dłużej.

W sobotę o szóstej rano Scott, tak jak było umówione, zajechał starym pick-upem pod dom państwa Crawfordów. Kathryn czekała na niego na tarasie. Na T-shirt narzuciła ciepłą bluzę, bo na Cape Cod wrześniowe poranki, nawet przy najpiękniejszej pogodzie, bywają dość zimne, a do plecaka na wszelki wypadek zapakowała kurtkę przeciwdeszczową.

Chłopak wysiadł z samochodu i spojrzał na niebo.

- Cześć! Dziś już nic nie powinno nam przeszkodzić. Przed wyjściem z domu jeszcze raz sprawdziłem przez telefon prognozę pogody. Możemy jechać? - zapytał.

- Jestem gotowa - odparła Kathryn.

Przed dom wyszła pani Crawford, która nie wybaczyłaby sobie, gdyby jeszcze raz nie udzieliła wnuczce kilku wskazówek.

- Dzień dobry - przywitał ją grzecznie Scott i odgadując myśli starszej pani, dodał: - Obiecuję, że najpóźniej o drugiej przywiozę Kathryn z powrotem całą i zdrową.

Pani Crawford wręczyła mu dwa plastikowe pojemniki i termos.

- To na wypadek, gdybyście zgłodnieli. Trochę kanapek, placek ze śliwkami i gorąca herbata z cytryną.

- Dziękujemy - odparli oboje i po chwili siedzieli już w pick-upie.

- Wiesz - odezwał się Scott, gdy wyjechali za bramę domu państwa Crawfordów - jakoś nie mogę uwierzyć, że jednak ze mną popłyniesz.

- Przyznam ci się do czegoś: ja też w to nie wierzę.

Do przystani, na której stał zacumowany jacht Scotta, było nie więcej niż pięć kilometrów, ale droga okazała się tak kiepska, że dotarcie tam zajęło im piętnaście minut.

Po wyjściu z samochodu i pokonaniu kilkudziesięciu metrów piaszczystą ścieżką między karłowatymi sosnami Kathryn zobaczyła drewniany pomost, przy którym kotował się jacht.

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła - poprosił Scott.

- Tak?

- Mogłabyś zamknąć oczy i otworzyć dopiero wtedy, jak ci powiem?

- Po co? - spytała zaskoczona. - Boję się, że jak je otworzę, znikniesz i zostanę tu zupełnie sama.

- Obiecuję ci, że tu będę.

Kathryn zrobiła więc to, o co ją prosił, i czekała w napięciu. Po chwili ujął jej dłoń i wolno poprowadził w kierunku morza.

Miała ochotę uchylić powiekę i podejrzeć, bała się jednak, że uciekając się do takich sztuczek, mogłaby coś zniszczyć, a czuła, że właśnie dzieje się coś szczególnego.

Zapach morskiej soli był już tak silny, że musieli być przy samej wodzie.

- Uważaj teraz - ostrzegł ją Scott. - Będzie stopień. Ale nie otwieraj jeszcze oczu.

Kathryn ostrożnie postawiła najpierw jedną nogę, potem drugą i poczuła pod stopami drewno. Byli już na pomoście. Zaczęła liczyć kroki. Przy każdym rozlegał się głuchy stukot butów o drewniane deski.

Po sześćdziesiątym trzecim kroku Scott zatrzymał się. Potem stanął za nią, ujął jej ramiona i obrócił Kathryn o dziewięćdziesiąt stopni.

- Już możesz otworzyć oczy - powiedział.

Przez chwilę się wahała. Wiedziała, że to, co się zdarzy, będzie ważne, i chciała się na tę chwilę jakoś przygotować.

- Otworzyłaś już? - spytał Scott, który wciąż stał za jej plecami i nie widział jej twarzy.

Czuła na ramionach jego dłonie, a na karku ciepły oddech.

- Nie. - Było jej tak cudownie, że mogłaby tak stać do końca świata. W końcu jednak zwyciężyła ciekawość.

Doliczyła głośno do dziesięciu i otworzyła oczy.

Stała przed jachtem, tym samym, który widziała na przyczepie tego dnia, gdy poznała Scotta. Tylko że teraz nie był już obdrapany. Świeżo położona biała farba wręcz lśniła, ale nie to przyciągnęło uwagę dziewczyny, lecz wielkie granatowe litery, które tworzyły ciągnący się prawie na całej długości burty napis: KATHRYN. Oczy zaszyły jej mgłą, a po chwili poczuła na policzkach łzy. Nie próbowała się nawet oszukiwać, że to wiejący od morza wiatr podrażnił jej oczy, i nie starała się ukryć łez przed Scottem.

Odwróciła się do niego, położyła mu dłonie na ramionach i spojrzała w jego ciemne oczy.

- Mówiłem ci kiedyś, że nie jestem najlepszy w wymyślaniu nazw - odezwał się nieśmiało - ale ta nie jest chyba najgorsza.

Odgarnął z twarzy Kathryn targane wiatrem włosy, przytrzymał je za uchem i już żaden mały rudy łakomczuch nie mógł im przeszkodzić w tym, co było nieuniknione.

Już wkrótce kolejna książka z serii

**NIE DLA MAMY,
NIE DLA TATY,
LECZ DLA KAŻDEJ
MAŁOLATY**

*Nie przegapcie książki
Natalie Fields*

**WSZĘDZIE
TAM,
GDZIE
MNIE NIE
MA**

Rozdział

1

JNicole Taylor i jej przyjaciółka Sara Brocket wyszły z domu towarowego na Bernard Street i widząc ludzi w panice uciekających przed ulewą, która musiała rozpocząć się niedawno, cofnęły się i znów weszły do ciepłego wnętrza sklepu.

- Ohyda - rzuciła Nicole, strzepując z kurtki krople deszczu. - I pomyśleć, że w Nowym Jorku wczoraj był upał.

- Skąd wiesz? - spytała Sara.